

ISSN 0867-8952

NR 3(279) MARZEC 2014

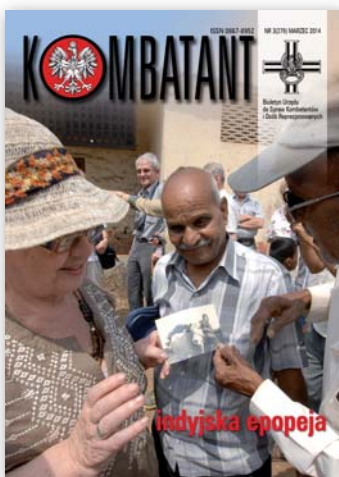
KOMBATANT



Biuletyn Urzędu
do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



indyjska epopeja



Marianna Stypuła z mieszkańcami Valivade w Indiach FOT. PIOTR SULEK/UDSKIOR

BIULETYN URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Redakcja

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
e-mail: kombatant@udskior.gov.pl

redaktor naczelny: Piotr Sulek
tel. (22) 661 89 22
e-mail: piotr.sulek@udskior.gov.pl

Katarzyna Zientara-Majewski
tel. (22) 661 84 23
e-mail: katarzyna.zientara@udskior.gov.pl

Współpracują:

Franciszka Gryko, Jan P. Sobolewski,
współpraca fotoreporterska: Alina Nowacka

Redakcja tekstów: Wojciech Lewicki

Korekta: Dariusz Saracyn

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.udskior.gov.pl

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
centrala tel. (22) 661 81 11
punkt informacyjny tel. (22) 661 81 29
(22) 661 87 06, www.udskior.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Druk: TOPDRUK Sp. z o.o.

ul. Nowogrodzka 151a, 18-400 Łomża

Nakład: 4200 egz.



w numerze

3 Indyjska epopeja

Piotr Sulek

8 Święto „Żołnierzy Wyklętych” – kolejny powrót bohaterów

Norbert Nowotnik

14 Dekret o kuli

Wojciech Lewicki

19 Wyrwani z łap gestapo przez NSZ

Maciej Gelberg

22 Dlaczego pan zdradził?

Agnieszka Kuchcińska-Kurcz

26 Grupy Oporu „Solidarni”

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

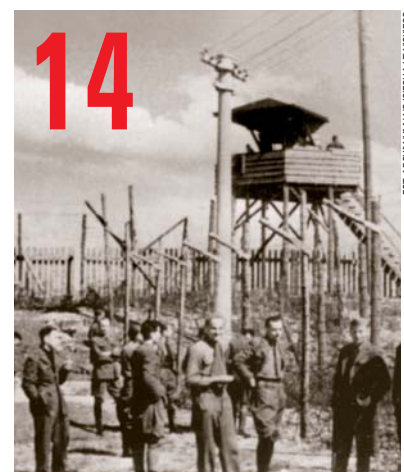
28 Broń „Żołnierzy Wyklętych”

Jarosław Lewandowski



„Żołnierze Wyklęci” – herosi powojennej Polski, którzy z bronią w ręku opierali się sowietyzacji, to wyjątkowe ofiary komunistycznego terroru po 1945 r. Podstępnie aresztowani i więzieni, byli skazywani na karę śmierci, a po wykonaniu wyroków wrzucani do bezimiennych dołów.

Pod koniec marca 1944 r. z obozu jenieckiego w Żaganiu wydostało się podkopem kilkudziesięciu alianckich oficerów. Wydarzenie to znane jest przede wszystkim za sprawą filmu fabularnego „Wielka ucieczka” z 1963 r. z Charlesem Bronsonem i Steve'em McQueenem. Nie był to jednak ani pierwszy, ani ostatni jeniecki tunel. Z całą pewnością był za to najdłuższy i wybudowany na największej głębokości. Cóż z tego, skoro tylko dla trzech uciekinierów stał się drogą do wolności.



K O L P O R T A Ź

Kolportaż: Tomasz Nejmanowski,
tomasz.nejmanowski@udskior.gov.pl, tel. (22) 661 86 67

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w nadsyłanych materiałach. Materiały powinny być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem autora tekstu i zdjęcia oraz zawierać jego prywatny adres i telefon kontaktowy, a także krótką notkę o autorze tekstu. W miarę możliwości prosimy o dostarczanie tekstów i materiałów graficznych (zdjęcia o rozdzielczości 300 dpi) w wersji elektronicznej (na CD lub pocztą elektroniczną). Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Rubryka *Poszukujemy* jest bezpłatna.



PIOTR SULEK

Indyjska epopeja

Historia tułaczki polskich dzieci rozpoczyna się 17 września 1939 r., wraz z agresją sowiecką. Ruszają deportacje tysięcy Polaków w głąb ZSRS, tysiące polskich dzieci traci rodziców i bliskich. Zostają sierotami, często muszą opiekować się młodszym rodzeństwem. Trafiają do sowieckich sierocińców. Ich życie zamienia się w koszmar. Jednak po podpisaniu układu Sikorski-Majski w 1941 r. pojawia się szansa na ich uratowanie.



Polski konsul generalny w Delhi, Eugeniusz Banasiński, z żoną Kirą FOT. ARCHIWUM

Sprawa ewakuacji polskich dzieci do Indii zaczęła nabierać realnych kształtów. W Delhi powołano Komitet Pomocy Dzieciom Polskim. W jego skład wchodził m.in. katolicki arcybiskup Delhi, przedstawiciele Izby Książąt Indyjskich i rządu oraz polski konsul generalny, Eugeniusz Banasiński. Niezwykle oddana sprawie była też jego żona, Kira Banasińska. To oni z wielką determinacją rozpoczęli prace przy organizowaniu życia uchodźców ze Związku Sowieckiego.

Indie były pierwsze

Ewakuowanych z ZSRS początkowo umieszczono w obozach w Te-

heranie, a następnie przetransportowano do Malir i Country Club w okolicach Karaczi. Stąd wyjeżdżali do państw, które wyraziły zgodę na ich przyjęcie. Indie jako pierwsze – już w 1942 r. – zgodziły się przyjąć polskie dzieci, wyrzuwając je tym samym z wojennej zawieruchy. W latach 1942–1948 powstało tutaj kilka ośrodków, w których schronienie znalazły polskie kobiety z dziećmi oraz sieroty. Były to głównie osiedla w Valivade i Balachadi, ośrodek kuracyjny w Panchgani oraz konwenty, w których kształciła się młodzież: w Karaczi, Mount Abu i Mumbaju. Istniały też dwa obozy tymczasowe

dla ewakuowanych drogą lądową – w Bandrze i Quercie.

W Valivade-Kolhapurze zorganizowano największe w Indiach osiedle, które z czasem stało się centrum polskiego uchodźstwa. Zamieszkało w nim ponad 5 tys. uchodźców, głównie dzieci, młodzieży i kobiet. Powstało ono w lipcu 1943 r. Początkowo zostało zasiedlone dziećmi z sierocińca w Karaczi-Malir. W 1944 r. przeniesiono tu około połowy dzieci z Balachadi, a rok później po likwidacji tego osiedla pozostałe dzieci i personel.

Dobry Maharadża

Przypominając losy polskich uchodźców w Indiach, a głównie dzieci, szczególnie pamiętać należy o pomocy, którą zaoferował panujący w księstwie Nawanagar, maharadża Jam Saheb Digvijay Sinhji. Był jednym z dwóch delegatów Indii zasiadających w gabinecie wojennym Wielkiej Brytanii. Tam też spotkał naczelnego wodza i premiera polskiego rządu, gen. Władysława Sikorskiego. – *Głęboko wzruszony, przejęty cierpieniami polskiego narodu, a szczególnie losem tych, których dzieciństwo i młodość upływa w tragicznych warunkach najokropniejszej z wojen, pragnąłem w jakiś sposób przyczynić się do polepszenia ich losu. Zaofiarowałem więc im gościnę na ziemiach położonych z dala od zawieruchy wojennej. Może tam, w pięknych górach nad brzegami morza, dzieci te będą mogły powrócić do zdrowia, może tam uda im się zapamiętać o wszystkim, co przeszły, i nabrać sił do przyszłej pracy jako obywatele wolnego kraju. Jestem niezmiernie rad, że mam możliwość choć w części przyczynić się do ulżenia doli polskich dzieci. Przejęty jestem cierpieniami polskiego narodu, walczącego tak nieugięcie przeciw przemocy, który wydał z siebie tak wspianych synów –* zadeklarował maharadża, który od dawna interesował się Polską.

W latach 1942–1946 maharadża udzielił schronienia około tysiącu polskim dzieciom. Zapewnił im opiekę lekarską, jedzenie, ubranie i przede wszystkim szkołę. Balachadi wspomina po latach Roman Gutowski. – *Mam wrażenie, że wtedy Balachadi było jednym z nielicznych miejsc na świecie, gdzie 365 razy w roku była podnoszona polska flaga przy udziale wszystkich dzieci z sierocińca.*

Jam Saheb interesował się ich losem i przez wielu był traktowany niemal jak ojciec. Pytany, jak można wynagrodzić jego wielkoduszność, miał odpowiedzieć: – *W wyzwolonej Polsce nazwijcie moim imieniem którąś z warszawskich ulic.* Dziś w Warszawie znajduje się skwer Dobrego Maharadży oraz szkoła jego imienia.

W roku 1945 r., po zamknięciu obozu Country Club koło Karaczi i przeniesieniu jego mieszkańców, osiedle w Valivade osiągnęło maksymalny stan liczebny, z czego połowę stanowiły dzieci. Jego organizację i administrowanie władze w Delhi powierzyły Polakom. Komendantem został kpt. Władysław Jagiełowicz. Powołano też do życia wszelkie instytucje niezbędne do normalnego funkcjonowania tak dużej społeczności. Początkowo zakładano czas istnienia osiedla na trzy lata. Później okazało się, że funkcjonować będzie pięć lat.

Rozpoczęły się zajęcia w polskich szkołach, powstało harcerstwo, a dla najmłodszych zawiązano drużyny zuchów. Ze względu na dużą liczbę dzieci i młodzieży zorganizowano system oświaty, powołując aż cztery szkoły powszechne, gimnazjum i liceum oraz szkołę kupiecką. Uczniów doksztalcano na kursach krawieckich, gotowania, drukarskich i introligatorskich. Utrzymywano kontakty ze skautami z Kolhapur i Miraju. Wybudowano kościół, zorganizowano pocztę, straż bezpieczeństwa i straż pożarną. Powstały sklepy, cukiernia, spółdzielnia ogrodnicza. Z czasem powstało kino i zorganizowano bazar. Miejscowa ludność przyjęła polskich uchodźców bardzo życzliwie. W wielu pracach uczestniczyli Hindusi, z którymi polscy uchodźcy nawiązali bezpośredni i codzienny kontakt.

W hołdzie dyplomatom

Po 72 latach przedstawiciele Koła Polaków z Indii z lat 1942–1948 stanęli nad grobem pochowanego w Mumbaju konsula Eugeniusza Banasińskiego oraz jego małżonki Kiry. Na katolickim cmentarzu zebrał się przewodniczący polskiej delegacji, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski; biskup połowy Wojska Polskiego, ks. Józef Guzdek; amba-

sador RP w Republice Indii, Piotr Kłodkowski; sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, współorganizator wizyty, Andrzej Krzysztof Kunert; senator Andrzej Person; konsul generalny RP w Mumbaju, Leszek Brenda; zastępca dowódcy Garnizonu Warszawa, płk Andrzej Śmietana; przedstawiciel prezydenta RP, Waldemar Strzałkowski.

– *Rozpoczynamy naszą pielgrzymkę na ziemi indyjskiej od grobu dyplomaty II Rzeczypospolitej i jego małżonki. Sprostali oni niezwykle trudnemu zadaniu podczas II wojny światowej, kiedy często małe placówki musiały zmierzyć się z zadaniami przerastającymi ich możliwości personalne i finansowe. Liczyło się polskie serce, pomoc i mobilizacja wszystkich Polaków w najtrudniejszych momentach II wojny światowej. Pamiętajmy o dyplomatach, którzy tak wiele zrobili, pamiętajmy o takich postaciach jak śp. Kira Banasińska, która odegrała olbrzymią rolę, pokazując, na czym polega heroizm w chwilach najbardziej tragicznych –* mówił na cmentarzu Jan Stanisław Ciechanowski.



Lech Trzaska, po 70 latach ponownie stanął na peronie w Valivade. FOT. PIOTR SULEK/UDSKOR

W drodze do Kolhapuru uczestnicy zjazdu Koła Polaków z Indii zatrzymali się w Panchgani, gdzie mieściła się żeńska szkoła i sanatorium. – *Jestem niezwykle wdzięczna wszystkim, że mogłam tu przyjechać. Bardzo przeżywam czas, który tu spędziłam, przystąpiłam tu do Pierwszej Komunii Świętej. Mieszkałam*



ne Indie na biało-czerwonym szlaku do wolności: – *Przybywamy tu państwa śladem, śladem tysięcy polskich cywilów skazanych na zagładę, o których pisano, że nie zostało im nic oprócz Boga. Tu, w tym miejscu, przypominamy, że nie ma nic gorszego niż bestialsko przerwane dzieciństwo. Tu przypominamy, że*

Złożenie przez polską delegację wieńca pod tablicą pamiątkową z nazwiskami Polaków pochowanych na cmentarzu w Kolhapurze. Od lewej: płk Andrzej Śmietana, Malti Kashikar (Wanda Nowicka), Czesława Grzybowska, Leszek Brenda, Waldemar Strzałkowski, Andrzej Person, Andrzej Krzysztof Kunert, Jan Stanisław Ciechanowski, Piotr Kłodkowski. FOT. PIOTR SULEK/UDSKOR



Podczas uroczystości w Kolhapurze, Jan Stanisław Ciechanowski podziękował Hindusom za przyjęcie polskich dzieci, które dotarły do Indii po opuszczeniu Związku Sowieckiego. FOT. PIOTR SULEK/UDSKOR

w internacie i chodziłam do szkoły – wspominała Ludmiła Jakutowicz.

Uroczystość w Kolhapurze

Główne wspólne polsko-indyjskie obchody rocznicowe odbyły się 4 marca 2014 r. w Kolhapurze. Uroczystość poprzedziła Msza św. odprawiona przez biskupa polowego WP, Józefa Guzdkę, po której członkowie delegacji udali się pod pomnik Wdzięczności, by podziękować za przyjęcie i pomoc okazaną w tamtych latach przez mieszkańców Indii. Po odegraniu hymnów Republiki Indii i Rzeczypospolitej Polskiej delegacja pod kierownic-

twem Jana Stanisława Ciechanowskiego złożyła wieniec przy pomniku poświęconym żołnierzom i obywatelom stanu Kolhapur, poległym w czasie wojen i konfliktów XX w. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele dystryktu Kolhapur, m.in. wojewoda dystryktu Kolhapur, Radżarama Mane; burmistrz Kolhapuru, Sunita Raut; komendant Policji Kolhapur, Manodżkumar Szarma; przyjaciel polskiego środowiska zrzeszonego w Kole Polaków, płk Vijay Gaikwad.

W swoim wystąpieniu Jan Stanisław Ciechanowski podkreślił, jak ważnym miejscem stały się gościnn-

ludzie dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy wiedzą, co to głód, i na tych, którzy nigdy się tego nie dowiedzieli. Dziś będziemy modlić się na grobach naszych rodaków, będziemy odmawiać te same modlitwy, które dawały im siłę, by wyjść ze Związku Sowieckiego. Na zakończenie kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych zwrócił się do zgromadzonych w języku hindi.

Podczas uroczystości przed pomnikiem Wdzięczności głos zabrał również Andrzej Jan Chendyński, prezes Koła Polaków z Indii z lat 1942–1948. – *Drodzy induscy przyjaciele. Przyjechała tutaj do Kolhapuru Polska – Polacy z Polski i Po-*

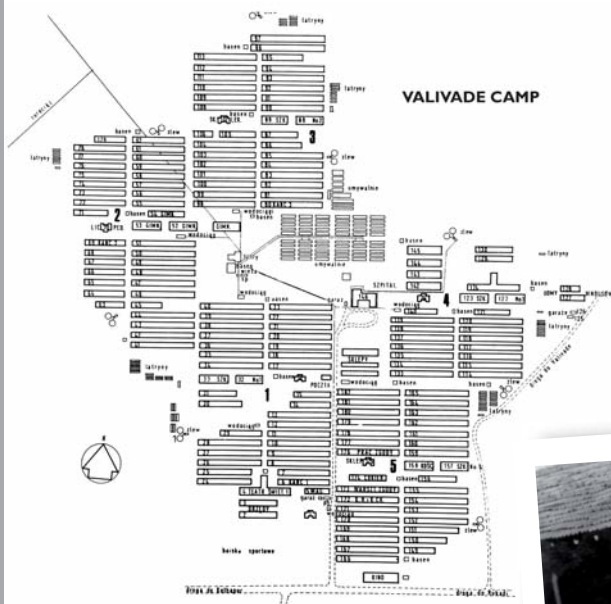
lacy z wielu krajów świata: Australii, RPA, Anglii i USA, by wam, drodzy przyjaciele, podziękować za udzieloną gościnę nam, polskim uchodźcom-wygnąnciom w latach II wojny światowej i po jej zakończeniu, w latach 1943–48. Podczas uroczystych obchodów Dnia Niepodległości 15 VIII 1947 r. w osiedlu Valivade znamienne były życzenia Hindusów skierowane do nas, Polaków, by dane nam było wrócić do wolnej Ojczyzny. Polska po wojnie utraciła tereny wschodnie, z których większość z nas pochodziła. Utraciliśmy nasze domy. Nie mieliśmy do kąd wracać. Dlatego po zakończeniu wojny Polacy rozjechali się po całym świecie. Ostatni opuścili osiedle w Valivade w 1948 r. Tylko ok. 10% wróciło do Polski, wielu zamieszkało w Anglii, Włoszech, Stanach Zjednoczonych Ameryki, Kanadzie, Republice Południowej Afryki, Australii. (...) Indie na zawsze pozostają

rathi i angielskim głoszą: „W latach 1943-1948 dzięki gościnności Stanu Kolhapur 5 tysięcy Polaków znalazło schronienie w Osiedlu Valivade”. Rozproszeni po świecie zachowaliśmy Indie w naszych sercach i wdzięcznej pamięci. Co dwa lata spotykamy się na światowych zjazdach, najczęściej w Polsce. (...) Dziękujemy Indusom za ich gościnę. Na kolhapurskiej ziemi pozostawiamy naszego polskiego ambasadora, panią Malti Kashikar (Wanda Nowicka) i zapewniamy, że Indie mają w nas, Polakach, ambasadorów nie tylko w Polsce, ale wszędzie tam, gdzie rozsiał nas po świecie wiatr historii: w Australii, RPA, Kanadzie, USA, we Włoszech i w Anglii.

Po wystąpieniach wojewody dystryktu Kolhapur, Radżarama Mane, oraz ambasadora Piotra Kłodkowskiego, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanow-

ski, w uznaniu szczególnych zasług w utrwalaniu pamięci o ludziach i ich czynach w walce o niepodległość Polski podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu, odznaczył medalem „Pro Memoria” Vijay Gaikwada oraz Wandę Nowicką-Kashikar. W akcie dekoracji uczestniczył ambasador RP, Piotr Kłodkowski. Ceremonia dekoracji odbyła się przed pomnikiem Wdzięczności.

Po zakończeniu uroczystości delegacja polska udała się na cmentarz, gdzie złożono kwiaty na grobach Polaków pochowanych w Kolhapurze. Przy odnowionym przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa pomniku wspólnie odmówiona została modlitwa. Polskie groby zidentyfikowano na podstawie zachowanych zdjęć i ustawiono przy nich krzyże z nazwiskami spoczywających tu osób. Mogiły udekorowano biało-czerwonymi chorą-



stały w naszej wdzięcznej pamięci. Dlatego kopię pomnika Wdzięczności, ku pamięci i przyjaźni z narodem hinduskim, pragniemy postawić w stolicy Polski – Warszawie. Wyrazem tego było ufundowanie w 1998 r. pomnika Wdzięczności w mieście Kolhapur, na którym napisy w trzech językach: polskim, ma-

W latach 1943–1948 w Valivade znalazło schronienie 5 tys. polskich uchodźców. W większości były to dzieci. FOT. ARCHIWUM REDAKCJI (3)



Zbigniew Bartosz i Roman Gutowski oglądali to, co pozostało z budynków osiedla w Valivade. FOT. PIOTR SULEK/UDSKIOR

giewkami. – W Kolhapurze znajdują się groby 78 Polaków, którzy w drodze do Ojczyzny tam spoczęli w latach 1943–1947. Jest na tym cmentarzu symboliczna mogiła z płytą, na której wypisane są nazwiska wszystkich tam pochowanych. Kilkoro „Indian” (tak nazwał nas śp. ks. prałat Zdzisław Peszkowski, nasz instruktor w Valivade, „Druh Rys”) odnalazło swoich bliskich. Ja modliłem się za duszę zmarłej Magdaleny Otto, matki mojej przybranej siostry Janiny – mówił prezes Chendyński.

Cmentarz staraniem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa został uprzątnięty, a groby tymczasowo oznaczone. Sekretarz ROPWiM, Andrzej Krzysztof Kunert, poinformował, że w najbliższym czasie (od roku do półtora) nagrobki zostaną odbudowane, a cmentarz zrewaloryzowany.

Osiedle Valivade

Uczestnicy pielgrzymki odwiedzili też Gandhinagar, gdzie w latach 1943–1948 istniało polskie osiedle Valivade. Już wówczas Hindusi nazywali je „Małą Polską w Indiach”.

Gandhinagar to dzisiaj przedmieście prawie milionowego miasta Kolhapur, oddalone od centrum o siedem kilometrów. Przed 70 laty wiodąca do niego droga była miej-

scem spacerów i zabaw, a rosnące przy niej drzewa świętojańskie i liany spletały się w górze, tworząc ocieniającą kopułę. Teraz jest to zabudowana ulica tętniąca życiem. – Dzisiaj z naszego Valivade pozostało na obrzeżach i w środku miasta jedynie parę przebudowanych bloków i parę kamiennych, rozsypanych się ich szczytów. Jeszcze rok, dwa, a wszystkie znikną, bo miasto intensywnie się rozbudowuje – wspomina Wiesław Sypuła. – Ta ziemia na zawsze pozostanie w moim sercu – dodaje. – Każdego roku, latem, przychodził deszczowy monsun. Łało wtedy nieprzerwanie, jak z cebra. Wiało okropnie, podmuchały zrywały dachówki, trzeba było chronić się pod stołami. Rzeka występowała z brzegów i podchodziła pod samo osiedle. Powódź zalewała okoliczne pola, a gdy pod koniec sierpnia zaczęła ustępować, Hindusi, swoim zwyczajem, oddawali cześć bóstwom. Bo woda to życie.

Nazwa Valivade zachowała się na stacji kolejowej. Kojarzona jest tutaj z Polakami i Polską. – Przystanek kolejowy Valivade teraz jest „elegancki”, a nie jak kiedyś bez peronu w szczyrym polu. Na tę stację przyjechałem i z tego miejsca odjeżdżałem, opuszczając Valivade i Indie – wspomina Lech Trzaska, stojąc po 70 latach na peronie. ■

Tama

Trudno do rzeki Panchgangi dojechać. Poprzedniego dnia kierowcy pomylili drogę i nie udało się. – Widziałem zawód w oczach „Indian”, ale w gęszczu ciasnej zabudowy nie było to możliwe – mówi Andrzej Chendyński. – To będzie zaraz tam! Mijamy idące naprzeciw Hinduski, ubrane w sari, niosące na głowach misy pełne wypranej bielizny. Za nimi szare krowy z długimi rogami, podobne do bawołów. Już widać rzekę, droga z lekka się obniża i ukazuje się w dolinie: jest! Tama! Przyspieszamy kroku. Wysorowałem się pierwszy, dopadam, wdrapuję się na cokół tamy.



Idę pomatu, mijają mnie jacyś Hindusi. Robię szereg zdjęć, także z Hindusami. Po chwili nadchodzi Jan Stanisław Ciechanowski: objaśniam, gdzie było osiedle, 500–800 m od rzeki i mówię, że tutaj nauczyłem się pływać, że stałe tutaj przebywałem. Jakież jest moje zaskoczenie, gdy „Indianka” Janina Kluczyńska mówi, że ona też przychodziła tutaj na węgry. Teraz z trudnością przeciska się przez otwory w tamie. Wielu z nas dziwnie się zachowuje. Są przejęci. Tu jest nasze Valivade! Autentyczne. Rzeka jak dawniej, ale woda nie ta sama. Tamta popłynęła hen... jak my. Ale tama stoi, jak dawniej. I zatrzymuje wody, jak wtedy, tylko swoje. To tu były nasze młode lata. Stąd rozjechaliśmy się po świecie – opowiada wzruszony prezes Andrzej Chendyński.

NORBERT NOWOTNIK

Święto „Żołnierzy Wyklętych” – kolejny powrót bohaterów

„Żołnierze Wyklęci” – herosi powojennej Polski, którzy z bronią w ręku opierali się sowietyzacji, to wyjątkowe ofiary komunistycznego terroru po 1945 r. Podstępnie aresztowani i więzieni, byli skazywani na karę śmierci, a po wykonaniu wyroków wrzucani do beziemiennych dołów.

Dwudziestego ósmego lutego – w przeddzień Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” – Instytut Pamięi Narodowej ogłosił 12 kolejnych nazwisk zidentyfikowanych ofiar komunistycznej bezpieki, w tym aż 4 żołnierzy słynnego dowódcy AK i WiN, mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Uroczystość, podczas której rodziny ofiar odebrały noty identyfikacyjne swoich krewnych, odbyła się w Belwederze z udziałem prezy-

ty pewne podejrzenia, a dzisiaj już jest pewność, że ci wszyscy bohaterowie dramatu powojennego będą prawdopodobnie odnalezieni nie tylko w naszej pamięci, ale fizycznie na słynnej Łączce na Powązkach Wojskowych w Warszawie – powiedział podczas uroczystości Bronisław Komorowski.

Wyniki identyfikacji ogłosili kierujący pracami poszukiwawczymi: historyk IPN, prof. Krzysztof Szwa-grzyk, oraz dr Andrzej Ossowski

row, godnego ich pogrzebu i przywrócenia ich zbiorowej pamięci Polakom – i zapowiedział, że kolejne ekshumacje na powązkowskiej Łączce odbędą się jeszcze w tym roku.

Wśród 12 rozpoznanych ofiar komunistycznej bezpieki znalazł się ppłk dypl. Antoni Olechnowicz. W 1944 r. dowodził I Zgrupowaniem AK podczas słynnej operacji „Ostra Brama”, której celem było oswobodzenie Wilna z rąk okupanta niemieckiego. Olechnowicz był jednym z nielicznych oficerów wileńskiej AK, któremu w lipcu 1944 r. udało się uniknąć aresztowania przez NKWD. – *Kontynuował działalność niepodległościową, pełniąc w odtwarzanych Komendach Okrę-*



Dr.hab. Krzysztof Szwa-grzyk podczas prezentacji zbiorowej mogiły, w której odnaleziono szczątki sześciu żołnierzy. FOT. WOJCIECH GRZEZIŃSKI/KPRP

denta RP, Bronisława Komorowskiego.

– *To jest początek działania na rzecz trwałego upamiętnienia bohaterów tego powojennego dramatu. Szczątki ofiar terroru komunistycznego były chowane w ukryciu, w miejscu nieznanym, co do którego istnia-*

z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, który koordynuje badania genetyczne. Przed odczytaniem nazwisk prezes IPN, dr Łukasz Kamiński, podkreślił: – Nie spoczniemy, póki nie wykorzystamy każdej możliwości odnalezienia i zidentyfikowania szczątków naszych bohate-

” (...) dzisiaj już jest pewność, że ci wszyscy bohaterowie dramatu powojennego będą prawdopodobnie odnalezieni nie tylko w naszej pamięci, ale fizycznie na słynnej Łączce

gu Wileńskiego najpierw funkcję szefa Oddziału I, a następnie szefa sztabu i zastępcy komendanta. Od końca marca 1945 r. na stanowisku komendanta Okręgu Wileńskiego. W grudniu 1945 r. podporządkował sobie oddziały partyzanckie dowodzone przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę” (5. i 6. Brygadę Wileńską AK). W lutym 1947 r.

przedostał się do Paryża, skąd po otrzymaniu instrukcji powrócił do kraju. Kontynuował działalność niepodległościową, dowodząc kadrowym Ośrodkiem Mobilizacyjnym Okręgu Wileńskiego AK – przypominał podczas uroczystości historyk IPN. Wyrok śmierci na ppłk. Olechnowiczu wykonano 8 lutego 1951 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Udało się zidentyfikować także słynnych „zaporczyków” – poruczników: Romana Grońskiego, Edmunda Tudruja, Arkadiusza Wasilewskiego i ppor. Jerzego Miatkowskiego. Szczątki ich dowódcy, mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” – cichociemnego i wybitnego dowódcy AK oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” – zidentyfikowano już w ubiegłym roku. Wszyscy oni zostali uwięzieni na Mokotowie w Warszawie, a następnie rozstrzelani przez komunistycznych oprawców 7 marca 1949 r.

Wśród zidentyfikowanych są także Adam Gajdek, żołnierz Armii

Krajowej, członek Zrzeszenia WiN, oraz Karol Rakoczy, który był żołnierzem Ruchu Oporu Armii Krajowej, następnie Narodowych Sił Zbrojnych. Kolejne zidentyfikowane ofiary to m.in. kmr Stanisław Mieszkowski, który od listopada 1949 r. był dowódcą Floty Marynarki Wojennej. Komunistyczne władze aresztowały go pod fałszywym zarzutem szpiegostwa. Wśród ofiar znalazł się także kmr Zbigniew Przybyszewski, którego komuniści również fałszywie oskarżyli o współpracę z obcym wywiadem.

Pozostałe zidentyfikowane osoby to ofiary czystek w powojennym Wojsku Polskim. Wśród nich znalazł się mjr Jan Czeredys, który został niesłusznie oskarżony o udział w „monopolu prywatnych firm na dostawy do wojska”. To także ppłk Aleksander Adam Kita i ppłk Marian Orlik, którzy zostali aresztowani pod fałszywymi zarzutami udziału w tzw. spisku w wojsku.

– Dla nas dzień ten jest pierwszym dniem, w którym nie czujemy

się obywatelami drugiej kategorii. Ja osobiście zwłok mojego ojca poszukuję 60 lat – powiedział wzruszony syn komandora, Witold Mieszkowski, który zabrał głos w imieniu rodzin ofiar. Podkreślił, że Łączka na Powązkach – po wybudowaniu tam specjalnego mauzoleum lub panteonu – musi być miejscem szczególnym: – To musi być miejsce narodowej dumy, a nie tragedii.

Do kwestii upamiętnienia ofiar komunistycznego terroru odniósł się również prezydent Bronisław Komorowski. Zwracając się do rodzin ofiar biorących udział w ceremonii, podkreślił, że będą one musiały same, *we własnym sumieniu, we własnym sercu ustosunkować się do przyszłości powązkowskiej Łączki.*

– Pochówek żołnierzy zidentyfikowanych po ekshumacjach na Wojskowych Powązkach powinien mieć charakter uroczystości państwowej, ogólnonarodowej – powiedział prezydent. Przypomniał też, że uroczystości pogrzebowe odnalezionych ofiar komunizmu mogłyby odbyć



W Belwederze wystawiono portrety ostatnio zidentyfikowanych ofiar komunistycznej bezpieki, m.in.: Jana Czeredysa, Adama Gajdka i Romana Grońskiego. FOT. PIOTR ZYCIENSKI

Odślonięcie pomnika upamiętniającego bohaterów antykomunistycznego podziemia

Instytut Pamięci Narodowej podaje, że w Polsce w latach 1944–1956 na skutek komunistycznego terroru śmierć poniosło ok. 50 tys. osób „straconych na mocy wyroków sądowych, zamordowanych i zmarłych w siedzibach Urzędów Bezpieczeństwa i Informacji Wojskowej, więzieniach i obozach, zabitych w walce lub w trakcie działań pacyfikacyjnych”. Znaczną część ofiar stanowili członkowie antykomunistycznego ruchu oporu, kontynuujący walkę zbrojną do początku lat 50.

Kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski, 28 lutego 2014 r. wziął udział w uroczystości upamiętniającej „Żołnierzy Wyklętych” w Zielonej Górze. Głównym punktem obchodów było odsłonięcie pomnika upamiętniającego bohaterów antykomunistycznego podziemia. Uroczystego odsłonięcia dokonały dzieci mjr. Adama Lazarowicza, straconego w 1951 r. członka IV Zarządu Głównego WiN – Zbigniew Lazarowicz i Danuta Iwan. Podczas uroczystości Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski został odznaczony ppłk Jan Kudła, członek WiN. W imieniu prezydenta RP odznaczenie wręczył kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Bronisław Komorowski w liście skierowanym do uczestników uroczystości podkreślił, że nie udało się zamazać pamięci o „Żołnierzach Wyklętych”. – *Cieszę się, że z roku na rok pamięć o „Żołnierzach Wyklętych” manifestowana jest coraz silniej. To znak odbudowywania wspólnoty pamięci – zaznaczył prezydent RP.*

W swoim przemówieniu Jan Stanisław Ciechanowski podkreślił, że „Żołnierze Wyklęci” nie pogodzili się z utratą wolności i dla wolnej Ojczyzny poświęcili wszystko, co mieli. – *Są wśród tych, którzy przez wieki przeciwstawiali się wrogom i okupantom Polski. We wrześniu 1939 r. stawili opór dwóm śmiertelnym wrogom Polski. Było dla nich jasne, że suwerenność istnieje albo jej nie ma. Kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych podziękował żołnierzom, którzy pokazali, co to niezawisłość, bez której nie ma wolności. – Byli prawdziwymi rycerzami niepodległości – podkreślił.*

Odślonięcie pomnika poprzedziła Msza św. w konkatedrze pw. św. Jadwigi celebrowana przez ordynariusza diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, bp. Stefana Regmunta, a także uroczystość w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Lubuskiego, podczas której Jan Stanisław Ciechanowski wręczył Krzyże Zesłańców Sybiru osobom zamieszkałym w woj. lubuskim: Klemensowi Grodzkiemu, Janinie Molce, Henrykowi Mordasiewiczowi, Helenie Płaźńskiej i Michałowi Sznajderowi. Krzyże zostały nadane przez prezydenta RP na wniosek ministra pracy i polityki społecznej osobom deportowanym i więzionym w łagrach, obozach i miejscach zsyłek. Zbigniew Lazarowicz wyraził wdzięczność za uczczenie pamięci żołnierzy, którzy oddali życie za wol-



FOT. MAGALENA GRZEBOWSKA

ność. Za wolność, której nie dane było im doczekać. Inicjatorem powstania pomnika „Żołnierzy Wyklętych” w Zielonej Górze był senator Stanisław Iwan, wnuk mjr. Adama Lazarowicza. W uroczystościach wzięli udział licznie zgromadzeni parlamentarzyści, przedstawiciele władz lokalnych, kombatanci oraz mieszkańcy Zielonej Góry.

Następnego dnia, 1 marca 2014 r., przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie oddano hołd „Żołnierzom Wyklętym”. Pamięć żołnierzy podziemia niepodległościowego – ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956 uczcił minister obrony narodowej – Tomasz Siemoniak; kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Stanisław Ciechanowski, a także przedstawiciele prezydenta, Sejmu i Senatu RP, Instytutu Pamięci Narodowej, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Uroczystość odbyła się z udziałem wojskowej asysty honorowej i pocztów sztandarowych.

MB, PS



Rodzinom przekazano świadectwa identyfikacyjne najbliższych, zidentyfikowanych na podstawie badań genetycznych FOT. WOJCIECH GRZEZIŃSKI/KPRP

się w 75. rocznicę utworzenia Polskiego Państwa Podziemnego, tzn. 27 września 2014 r. Jego zdaniem należy wyznaczyć datę pochówku ekshumowanych żołnierzy, uwzględniając m.in. fakt postępu w zakresie identyfikacji ofiar.

– Ta uroczystość powinna się zacząć na pl. marsz. Piłsudskiego, przed Grobem Nieznanego Żołnierza, bo przecież oni byli do pewnego stopnia

„ Za nami jest wiele dziesiątków lat, kiedy bardzo wielu ludzi i wiele instytucji robiło wszystko, by uniemożliwić w przyszłości to, co zaczęło się dziać trzy lata temu, w roku 2011

zbiorowym nieznanym żołnierzem, którego trzeba było odnaleźć, nazwać i którego trzeba będzie przywracać zbiorowej pamięci narodowej – zwrócił uwagę Bronisław Komorowski.

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zapowiedziała, że ufunduje na Łączyce kwaterę upamiętniającą ofiary komunizmu, gdzie szczątki ofiar zostaną godnie pochowane. – Za nami jest wiele dziesiątków lat, kiedy bardzo wielu ludzi i wiele instytucji robiło wszystko, by uniemożliwić w przyszłości to, co zaczęło się dziać trzy lata temu, w roku 2011. Już niedługo zostało. Już niewiele do zrobienia – mówił podczas uroczystości sekretarz ROPWiM, dr Andrzej Krzysztof Kunert. Podkreślił też, że usiłowania komunistów, by ich ofiary na wieki stały się bezimienne, okazały się na szczęście działaniem absolutnie nieskutecznym.

Krzysztof Szwagrzyk, który z ramienia IPN kieruje pracami poszukiwawczymi, przypomniał, że poza planowaną tegoroczną ekshumacją



Podczas uroczystości w Belwederze ogłoszono kolejne nazwiska zidentyfikowanych ofiar terroru komunistycznego. W imieniu rodzin podziękowania złożył syn kmr. Stanisława Mieszkowskiego FOT. WOJCIECH GRZEZIŃSKI/KPRP

Milcząc, wołają – fotografie Piotra Życieńskiego

Z okazji Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” w całej Polsce odbywały się okolicznościowe uroczystości. Pamięć żołnierzy podziemia niepodległościowego – ofiar komunizmu z lat 1944–1956 – uczcił także kierownik UdSKiOR, Jan Stanisław Ciechanowski, który 1 marca wziął udział w uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Hold „Żołnierzom Wyklętym” złożyli również: minister obrony narodowej, Tomasz Siemoniak, a także przedstawiciele prezydenta, Sejmu i Senatu RP, Instytutu Pamięci Narodowej oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Nie zabrakło członków Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Uroczystość odbyła się z udziałem wojskowej asysty honorowej i pocztów sztandarowych.

W Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” otwarto wystawę fotografii Piotra Życieńskiego pod tytułem „Cum tacent, clamant” (Milcząc, wołają). Jest to poruszająca ekspozycja kilkudziesięciu zdjęć, która przedstawia ekshumacje „Żołnierzy Wyklętych” i innych ofiar stalinizmu na Łączce.

– To owoce długich godzin, dni i tygodni pracy, podczas których pan Piotr Życieński dokumentował niemal każdy krok tego, co się działo podczas ekshumacji na Powązkach.

Powstała znakomita dokumentacja, która opowiada nie tylko o tym, co tam się stało, ale także o ludziach, którzy tam zostali pogrzebani – powiedział podczas wernisażu dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, Andrzej Zawistowski.

Obchodzony 1 marca Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” upamiętnia rocznicę wykonania przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa wyroków śmierci na przywódcach antykomunistycznej organizacji Wolność i Niezawisłość; 1 marca 1951 r. siedmiu członków IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN – ppłk Łukasz Ciepłiński, mjr Adam Lazarowicz, mjr Mieczysław Kawalec, kpt. Józef Batory, por. Franciszek Błażej, por. Józef Rzepka i por. Karol Chmiel – zostało zastrzelonych w mokotowskim więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie.

na Łączce należy także zbadać teren cmentarza na warszawskim Służewcu.

Chodzi o nekropolię na ul. Wąłbrzyskiej, która może skrywać tajemnicę ukrycia zwłok tak legendarnych postaci, jak gen. August Emil Fieldorf „Nil” (szef Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej), ppłk Łukasz Ciepłiński (przywódca Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”) i rtm. Witold Pilecki (uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, kampanii 1939 r. i dobrowolny więzień Auschwitz-Birkenau).

Ważną informację przedstawił podczas uroczystości minister sprawiedliwości, Marek Biernacki, który zapewnił, że w najbliższych latach powstanie muzeum mające przypominać o zbrodniach powojennego terroru komunistycznego. Placówka ta zostanie utworzona w Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej, gdzie w latach 1948–1956 wykonywano wyroki śmierci m.in. na żołnierzach podziemia niepodległościowego. – *Chcemy wyłączyć ten budynek z całego użytkownika służby więziennej. (...) Już to*



Hold „Żołnierzom Wyklętym” oddano na Łączce, gdzie prowadzone były prace ekshumacyjne
FOT. PIOTR ŻYCIENSKI

– Ze zdjęcia lotniczego wykonanego wiosną 1947 r. możemy zorientować się, gdzie leży to słynne pole Bokusa, gdzie w latach 1946–1948 pochowano kilkuset więźniów. To jest jedno z miejsc, które chcielibyśmy jeszcze w tym roku móc przebadać, ale problem podobnie jak z Łączką jest ten sam. Tam są już współczesne mogiły i przed nami jest konieczność wynalezienia takiej metody, która z szacunkiem dla wszystkich tam pochowanych pozwoli nam wydobyć szczątki naszych bohaterów – powiedział Krzysztof Szwagrzyk.

robimy i to zrealizujemy jako Muzeum Ofiar Komunizmu, systemu totalitarnego. Obiecuję to rodzinom, obiecuję panu prezydentowi – powiedział minister sprawiedliwości. W okresie stalinizmu w mokotowskim więzieniu wykonano od 300 do nawet 1000 wyroków śmierci.

Komunistyczne represje wobec podziemia niepodległościowego w latach 1944–1956 ma przedstawiać także stała ekspozycja w podziemiach dawnej siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. – Mam nadzieję, że najpóźniej



Projekt muzyczny Fundacji Niepodległości, płyta „Panny Wykłęte”

w przysłym roku podziemia te zostaną udostępnione już jako sala ekspozycyjna, sala pamięci – zapewnił Marek Biernacki. W gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1945–1954 obok zwykłych przestępców przetrzymywani byli oficerowie Armii Krajowej i więźniowie polityczni, m.in.

” W okresie stalinizmu w mokatowskim więzieniu wykonano od 300 do nawet 1000 wyroków śmierci

prof. Władysław Bartoszewski, prof. Wiesław Chrzanowski, Anna Swierczewska-Jakubowska „Paulinka”, gen. August Emil Fieldorf „Nil” i por. Jan Rodowicz „Anoda”.

Muzycznym akcentem obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wykłętych” był, zorganizowany przez Instytut Pamięci Narodowej, koncert piosenek z płyty „Panny Wykłęte” w warszawskim kinie Palladium.

Płyta „Panny Wykłęte” to projekt muzyczny Fundacji Niepodległości, która chce oddać hołd „Żołnie-

rzom Wykłym”, zaprosiła Darka Malejonka z zespołem Maleo Reggae Rockers i niezwykle polskie wokalistki Anię Brachaczek, Gonix, Halinę Mlynkową, Ifi Ude, Kasię Kowalską, Lilu, Kasię Malejonek, Marcelinę, Marię, Monę, duet Paresłów (Dore i Fala), Anię Rusowicz oraz siostry Przybysz – Annę Natalię i Paulinę.

Inspiratorem tego przedsięwzięcia był prezes Fundacji, Przemysław Omieczynski. Autorki, czołowe wokalistki polskiej sceny muzycznej, opowiadają przejmujące historie „Wykłych”, widziane oczami żon, matek, żołnerek i też samej historii często oparte na rodzinnych przekazach i doświadczeniach.

Niezwykle w tej płycie jest to, że słuchając utworów, przeżywa się i momenty solidarności z bohaterami tekstów, gotowości do walki o pamięć „Wykłych” na przemian z buntem, bezradnością i wzruszeniem takim do łez i dreszczy. Płytę kończy piosenka „Noc” z tekstem Barbary Konarskiej. Z tekstem, który nikogo nie pozostawi obojętnym:

*Stanę na każde Twoje zawołanie, Polsko
Po Bogu pierwsza, poza Nim przed Tobą nikt
Płaczesz, gdy zło wyklina Twoje wierne wojsko
Upomnisz się jak Matka o synów swych*

Płyta miała swoją premierę we wrześniu 2013 r. i od pierwszego dnia była wydarzeniem na polskiej scenie muzycznej. Najlepiej potwierdza to komercyjny sukces i status „złotej płyty”.

Płyta była częścią większego projektu prowadzonego przez Fundację Niepodległości „2013 – Rok Żołnierzy Wykłych”. Opublikowano ponad 250 biogramów „Żołnierzy Wykłych” oraz wspólnie z Ośrodkiem „Karta” wydano książkę „Wykłęci. Podziemie zbrojne 1944–1963” czy skierowaną do dzieci i młodzieży grę karcianą „Bohaterowie Wykłęci”. Nieprzypadkowo to właśnie rok 2013 został wybrany przez Fundację Niepodległości dla uczczenia „Żołnierzy Wykłych”. W październiku 2013 r. minęła 50. rocznica śmierci z rąk SB ostatniego „Żołnierza Wykłego”, Józefa Franczaka ps. „Laluś”, „Lalek”. Partnerami projektu był: Instytut Pamięci Narodowej oraz Ośrodek „Karta”. Projekt wsparty honorowymi patronatami: Marszałka Sejmu RP, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Ministerstwa Obrony Narodowej. W projekt włączyło się 61 samorządów, 39 przedsiębiorstw komunikacji oraz ponad 700 instytucji. ■

DEKRET O KULI

WOJCIECH LEWICKI

Zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej, a w szczególności jej art. 50 i 51, ucieczka jeńca była tylko i wyłącznie wykroczeniem, za co winowajcy groziła kara dyscyplinarna do 30 dni aresztu. Rzeczywiście przez pierwsze lata wojny Niemcy w zasadzie stosowali się do tej zasady. Procedura była taka: po schwytaniu – czym, niestety, kończyła się zdecydowana większość ucieczek – jeńiec trafiał do tego samego obozu, odbywał karę aresztu, po czym zostawał przeniesiony do innego, o zastrzyżonym rygorze – karnego lub specjalnego. Przez pewien czas funkcję taką pełnił np. polski oflag VIIIIC Silberberg (Srebrna Góra) czy międzynarodowy XC Lübeck (Lubeka).

Warto w tym miejscu jednak zaznaczyć, że taki schemat postępowania dotyczył jeńców polskich, francuskich, belgijskich czy brytyjskich, ale nie Rosjan. Nie dość, że Związek Sowiecki nie podpisał konwencji genewskiej, to jeszcze jego przywódca – Józef Stalin – traktował własnych żołnierzy, którzy dostali się do niewoli, jako zdrajców i nie robił nic, by ulżyć ich doli. Można powiedzieć, że był w tej

Pod koniec marca 1944 r. z obozu jenieckiego w Żaganiu wydostało się podkopem kilkudziesięciu alianckich oficerów. Wydarzenie to znane jest przede wszystkim za sprawą filmu fabularnego „Wielka ucieczka” z 1963 r. z Charlesem Bronsonem i Steve’em McQueenem. Nie był to jednak ani pierwszy, ani ostatni jeniecki tunel. Z całą pewnością był za to najdłuższy i wybudowany na największej głębokości. Cóż z tego, skoro tylko dla trzech uciekinierów stał się drogą do wolności.

sprawie pryncypialny. Dotyczyło to wszystkich – bez względu na szarżę, wcześniejsze zasługi czy nawet więzy krwi. Najlepszym przykładem niech będzie jego syn – Jakow Dzugaszwili – który w kwietniu 1943 r. zginął w obozie Sachsenhausen. Tym samym, co oczywiście nie jest żadnym wytłumaczeniem, Niemcy mieli „wolną rękę”, jeśli chodzi o traktowanie jeńców sowieckich, co dla dużej części z nich oznaczało śmierć.

„Ucieczka przestała być sportem”

Z czasem jednak sytuacja nawet tych „lepszyc” jeńców zaczęła się stopniowo zmieniać. Coraz częściej zbiegowie nie powracali do obozów, przychodziły za to zawiadomienia o ich śmierci „podczas próby ucieczki” i prośby o wykreślenie z ewidencji. Niekiedy zdarzało się, że do obozu przywożono ich ciała, nawet dla laika wskazujące na popełnienie

morderstwa. – *Wczoraj wieczorem Niemcy zastrzelili podchorążego Starca – wspomina w swoim dzienniku pod datą 28 marca 1944 r. ppor. rez. Józef Bohatkiewicz. – Ciekawa jednak była ta ucieczka, skoro cztery pociski trafiły od przodu i to z bliskiej odległości, bo nawet twarz była zawalona prochem. Miało to miejsce w drodze ze stacji do obozu. Ciężko rannego trzymali kilka godzin w lesie.*

Nikomiu nie przyszło wówczas jeszcze do głowy, by poważnie traktować niemieckie obwieszczenie, jakie na jesieni 1943 r. (przez niektórych historyków błędnie datowane na wiosnę) rozwieszono w oflagach i stalagach. – *Ucieczka z obozu jenieckiego przestała być sportem – pisano w nim bez ogródek, wyznaczając równocześnie tzw. strefy śmierci. I nie chodziło w tym przypadku o 1–2-metrowy pas przed drutami, co raczej o całe terytorium Rzeszy.*



FOT. ARCHIWUM AJDRA

Tymczasem Niemcy traktowali ową zapowiedź śmiertelnie poważnie, i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Najwyraźniej dość już mieli kolejnych ucieczek, które z czasem z „indywidualnych wybryków” zmieniły się w „sport masowy”. Z biegiem lat jeńcy stali się bowiem „dyplomowanymi” więźniami, i gdy wcześniejsze sposoby wyrwania się z niewoli przestały zdawać egzamin – gremialnie zaczęli drążyć tunele. Na nic się zdążyły środki zaradcze: kopanie wokół drutów głębokich na kilka metrów rowów, pod drewnianą podłogą baraków wylewanie betonowej posadzki, próbnymi odwiertami czy nawet instalowanie sonarów. I tak uciekali lub przynajmniej próbowali tego dokonać.

Z początkiem marca 1944 r. szef Oberkommando der Wehrmacht (Naczelne Dowództwo Wehrmachtu), gen. Keitel, wydał rozkaz „Stufe III” (Stopecień III) nakazujący, by wszystkich schwytanych oficerów i niepracujących podoficerów nie odsyłać ponownie do obozów, lecz przekazywać w ręce Sipo i SD. Co ciekawe, a priori dotyczył on jeńców polskich, francuskich czy belgijskich oraz oczywiście Rosjan, natomiast w przypadku Brytyjczyków i Amerykanów – należało za każdym razem skontaktować się z Kriegsgefangenenwesen (Urząd Jeniecki przy OKW), który miał podjąć de-

cyzję w ich sprawie. W ślad za tym rozkazem poszło policyjne zarządzenie „Kugel-Erlass” (Dekret o kuli), już z samej nazwy określające przyszły los schwytanych uciekinierów.

Generał Keitel – zdając sobie zapewne doskonale sprawę, że „Stufe III” jest jaskrawym pogwałceniem konwencji genewskiej – nakazał jak najdalej idące jego utajnienie. W żadnym wypadku jego treść nie mogła się wydostać „na zewnątrz”. By skreślić zbiegów z list ewiden-

” Z biegiem lat jeńcy stali się bowiem „dyplomowanymi” więźniami, i gdy wcześniejsze sposoby wyrwania się z niewoli przestały zdawać egzamin – gremialnie zaczęli drążyć tunele

cyjnych obozów, a zarazem w przekonujący sposób odpowiedzieć na kłopotliwe pytania ich kolegów, Międzynarodowego Czerwonego Krzyża czy tzw. państw opiekuńczych – *ponownie schwytani winni być mel-dowani w biurze informacyjnym Wehrmachtu jako zbiegli, lecz nie schwytani.*

Oberkommando der Wehrmacht nie odważyło się wydać rozkazu „Stufe III” w formie pisemnej. Mimo że na niższe szczeble był on zazwyczaj przekazywany ustnie – zachowała się jednak jego kopia. Stało się tak za sprawą „braku czujności” nie tyle wojska, co służb bezpieczeństwa Rzeszy. Otóż na początku marca wszystkie urzędy gestapo otrzymały ze swojej centrali dalekopisy z jego treścią, które później miały zostać zniszczone. Tego ostatniego polecenia nie wykonała jednak placówka gestapo w Akwizgranie (Aachen). By tego było mało, zachowało się tam również zarządzenie wykonawcze szefa policji bezpieczeństwa i SD: – *Urzędy gestapo przejmują zbiegów od komendantów stalagów i przetransportują ich do Mauthausen w trybie dotychczas stosowanym. Jeńców w drodze należy zakuć w kajdany, nie należy tego jednak robić w czasie transportowania ich na dworzec, jeśli może to być zauważone przez postronnych. W Mauthausen przekazuje się jeńców z zaznaczeniem, że odbywa się to w ramach „Aktion Kugel”.* Szef Sipo informował też swoich podwładnych, że z powodu zachowania tajemnicy prosił OKW, by ujętych jeńców nie transportować bezpośrednio z obozów do Mauthausen, lecz wcześniej przekazywać ich odpowiedniej placówce gestapo.



Jeńcy uciekali nawet z obozów zorganizowanych w starych warowniach, fortach i klasztorach. Na zdjęciach zamek Colditz (mieścił się w nim oflag IVC) i konwikt w Hadamarze (oflag XIHA) FOT. ARCHIWUM AUTORA

Dössel

Oflag VIB Dössel był obozem wyłącznie polskim, zorganizowanym w małej wsi pod Warburgiem (rejon Kassel). Na jesieni 1943 r. przebywało w nim blisko 2,5 tys. jeńców. W nocy z 19 na 20 września uciekło z niego podkopem 43 oficerów i 4 żołnierzy. Tylko 10 z nich udało się szczęśliwie ująć obławie. Resztę schwytano i zamordowano, prawdopodobnie w Buchenwaldzie.

– *Przygotowanie do ucieczki to sprawa nie mniej ważna niż sama ucieczka* – wspomina ppor. Wincenty Kawalec, jeden ze szczęśliwców, któremu udało się bezpiecznie dotrzeć do kraju. – *Ja osobiście przygotowywałem się dość starannie. Ubranie uszył mi z koca nasz żołnierz pracujący w warsztacie krawieckim, buty miałem własne, ok. 80 marek i trochę żywności. (...) Podkop miał około 45 m; prowadził z murowanego baraku, mieszczącego się za pierwszą linią drutów, do baraku położonego za drugą linią drutów. Wejście do podkopu znajdowało się w ścianie grubości ok. 65 cm, w której wybito otwór włazowy. Otwór ten był po pracy maskowany i przystosowywany do wyglądu ściany. Tunel podkopu był dość wąski, tak że ja osobiście musiałem się przez kilka tygodni specjalnie odchudzać, aby mieć większą swobodę ruchów.*

Już o 5 rano niemiecka komendantura dowiedziała się o ucieczce. Co ciekawe, nie odkryła tego sama – poinformowała o niej policja z Soest, która schwytała dwóch pierwszych jeńców. W obozie zarządzono alarm. Na nogi postawiony został niemal cały aparat bezpieczeństwa Rzeszy – garnizony wojskowe, służba kolejowa i drogową, młodzież z Hitlerjugend oraz niezliczona rzesza szpicli z organizacji Landwacht i Sadtwacht. Takie „pospolite ruszenie” musiało, i szybko przyniosło pierwsze efekty. – *W międzyczasie* – zakomunikowała już 21 września poli-



Wbrew pozorom najtrudniejszym elementem ucieczki nie było wcale przedostanie się za druty. Większość wpadek następowała później – podczas przedzierania się przez terytorium Niemiec. Na zdjęciu wieżyczka strażnicza w oflagu VIIA Murnau (u góry) oraz rysunek mjr. Wądołkowskiego wykonany w Dössel

FOT. ARCHIWUM AUTORA



cja z Poznania – *schwytano 4 oficerów i 1 ordynansa, odzianych już w ubrania cywilne sporządzone z wełnianych koców. Mieli przy sobie dowody osobiste polskich robotników cywilnych i bilety kolejowe do Wuppertalu. Jeden z aresztowanych nosił ubiór kobiety.* Niebawem przyszły nowe tryumfalne depesze z Fryburga (Freiburga) i ponownie z Poznania. W rezultacie w ciągu zale-

dwie kilku dni do obozu powróciło 20 uciekinierów.

Tymczasem komenda oflagu VIB Dössel 25 września odebrała telefonogram z Berlina: – *Zbiegli polscy oficerowie, którzy zostaną ponownie schwytani, nie powracają już do obozu, lecz będą przekazani SS. Obóz nie powinien występować do innych obozów, aby ponownie schwytanych polskich oficerów doprowa-*

Jenieckie podkopy miały bardzo różne parametry techniczne

Oflag XC Lübeck, tunel polski – długość ok. 30 m, głębokość nieznaną, przekrój nieznaną, ucieczka VIII 1943 r.

Oflag VIB Dössel – długość 40–45 m, głębokość 2–3 m, przekrój 50 x 50 cm, ucieczka 19/20 IX 1943 r.

Stalag Luft III Sagan, tunel „Harry” – długość 110 m, głębokość 8–9 m, przekrój 54 x 52 cm, ucieczka 24/25 III 1944 r.

Oflag XC Lübeck, tunel francuski – dane techniczne nieznaną, ucieczka V–VI 1944 r.

Oflag VIIA Murnau – długość 40 m, głębokość nieznaną, przekrój 120 x 120 cm, gotowy, niewykorzystany.

dzić do obozu VIB. Oficerowie, którzy już sprowadzono z powrotem do obozu, zostaną odebrani przez SS w celu przesłuchania.

Owych 20 złapanych zbiegów nie zdążyło nawet odsiedzieć w obozowym areszcie „przysługujących” im na podstawie konwencji genewskiej czterech tygodni „waczy”. Zachowana ewidencja jeniecka oflagu wskazuje, że już następnego dnia zostali

żeni o jej przygotowanie i również wydani w ręce SS.

Jeszcze w czasie wojny rodziny jeńców, zaniepokojone brakiem poczty od swoich bliskich, wysyłały do komendantury obozu pytania dotyczące ich losu. Żona ppłk. Kowalczewskiego otrzymała następującą odpowiedź: – *W związku z pismem Pani z dnia 31.XII.1943 r. powiadamia się, że polski jeńiec wo-*

– udało się. Zbiegło wówczas 76 oficerów RAF, co było największą ucieczką z obozu jenieckiego. Największą pod względem liczby uczestników, ale nie jeśli chodzi o jej skuteczność. W tej ostatniej kategorii należała ona bowiem do wyjątkowo pechowych – zaledwie trzem oficerom udało się uniknąć pościgu i szczęśliwie przekroczyć granicę Rzeszy.

Od razu Niemcy zarządziли alarm i rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę obława. W rezultacie szybko ujęto 73 uciekinierów – większość na Śląsku, niektórych w rejonie Kolonii i w Alzacji, jednemu udało się prawie dotrzeć do granicy szwajcarskiej. Piętnastu spośród nich powróciło do obozu, ośmiu osadzono w lochach gestapo, a resztę rozstrzelano. – *W marcu 1944 r. pięćdziesięciu oficerów brytyjskiego lotnictwa wojskowego – napisano w orzeczeniu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze – którzy zbiegli z obozu w Żaganii, gdzie przebywali jako jeńcy, zostało przy ponownym schwyтaniu na bezpośredni rozkaz Hitlera zastrzelonych. Zwłoki ich natychmiast spalono, a urny zawierające prochy przesłano do obozu.*

Wśród zamordowanych było sześciu Polaków służących w brytyjskim lotnictwie: mjr Antoni Kiewnarski (były adiutant gen. Sikorskiego), kpt. S.Z. Król, kpt. P. Tobolski, por. W. Kolanowski, por. J.P. Mondschein i por. K. Pawluk. Choć, niestety, nie wiemy, w jaki sposób zginęli – sam schemat zbrodni możemy dość wiarygodnie odtworzyć. Sporo szczegółów dotyczących tej sprawy odsłania bowiem angielski pisarz Lord Russell of Liverpool, w swojej słynnej pracy „Pod biczem swastyki”. Dla przykładu, pisząc o zamordowaniu jednego z poruczników, który dotarł do Alzacji, cytuje odnaleziony telefonogram, jaki otrzymała tamtejsza placówka gestapo: – *Brytyjski jeńiec wojenny, którego*

„ Zamknięci w stalagu Luft III Sagan alianccy lotnicy kilka razy próbowali drążyć podkopy. Za każdym razem zostawał on jednak wykryty i cały trud szedł na marne

jenny, podpułkownik Kowalczewski Bronisław, nr 12029, zbiegł z transportu jenieckiego i został zastrzelony w trakcie ucieczki.

Na jesieni 1943 r. nie obowiązywał jeszcze ani rozkaz „Stufe III”, ani „Dekret o kuli”. Może to zabrzmie dziwnie, ale – niestety. Świadczy o tym wstrząsający komunikat PAP z 1947 r.: – *W toczącym się przed Trybunałem Wojskowym w Dachau procesie przeciwko założycielom obozu w Buchenwaldzie rozpatrywana była sprawa bestialskiej egzekucji na oficerach polskich. Oficerów tych, w liczbie 40, rozebrano do naga i wieszano na hakach rzeźnickich, przy czym oczekujący na egzekucję musieli przypatrywać się przedśmiertnym mękom swoich towarzyszy.*

Żagań

Zamknięci w stalagu Luft III Sagan alianccy lotnicy kilka razy próbowali drążyć podkopy. Za każdym razem zostawał on jednak wykryty i cały trud szedł na marne. Wreszcie – w nocy z 24 na 25 marca 1944 r.

By utrudnić ucieczki, Niemcy zabronili jeńcom posiadania pieniędzy, które były rekwirowane podczas częstych rewizji. Jediną obowiązującą walutą w obozach były tzw. Lagermarki

FOT. ARCHIWUM AUTORA

z niej skreśleni. – *Gdy przybyłem na dworzec w Warburgu, znajdował się tam już porucznik żandarmerii Luellemann z Warburga – zeznawał w 1946 r. przed polskim prokuratorem wojskowym w obozie dla internowanych w Strumuehle wachm. Wilhelm Hoecke: – Na dworcu oświadczył nam, że będziemy eskortować transport więźniów. Zauważyliśmy samochody ciężarowe, w których znajdowało się 12–14 polskich oficerów. (...) Nasz transport doszedł aż do Weimaru. Funkcjonariusze obozu buchenwaldzkiego przejęli tam od nas oficerów. (...) Przewożeni oficerowie pochodzili z obozu w Dössel.*

Podobny los, choć nie mamy w tej sprawie żadnych „twardych” dowodów, spotkał zapewne pozostałych schwyтanych zbiegów – łącznie 37 jeńców. Do tej listy należy jeszcze doliczyć trzech kolejnych polskich oficerów: ppłk. Bronisława Kowalczewskiego, mjr. Stefana Pronoszkę i kpt. Władysława Wasilewskiego. Mimo że nie brali oni udziału w samej ucieczce – zostali oskar-

Kripo przekazało w ręce gestapo w Strasburgu, na podstawie rozkazów z góry winien być natychmiast zabrany w kierunku do Wrocławia i w drodze zastrzelony podczas usiłowania ucieczki. Ciało należy przewieźć karawanem do krematorium i tam spalić.

Liverpool dotarł również do zeznania gestapowca z Kolonii, Oskara Szmidta, który brał udział z zglądzeniu czterech uciekinierów z Żagania. Dwoma samochodami zabrano ich z Flensburga i podczas postoju zastrzelono. – *Gdy zbliżyłem się na odległość sześciu kroków od grupy, nagle jeden z oficerów wydał okrzyk i oni wszyscy rozbiegli się; równocześnie rozległy się wystrzały i jeńcy padli twarzą do ziemi. Widziałem wówczas Franza Schmidta i Jacobsa stojących tuż za oficerami z pistoletami w ręku. Ja również miałem w ręku pistolet, nabity i zabezpieczony. (...) W tym momencie Post krzyknął do mnie: „Ty nie strzelałeś, ten człowiek żyje!”. Jeden z oficerów wówczas uniósł się i Post, wyrwawszy karabin z ręki Kahlera, wystrzelił dwukrotnie do leżącego na ziemi. (...) Post, po dwukrotnym oddaniu strzałów w plecy tego oficera, strzelił z karabinu w głowę każdego z leżących na ziemi, którzy pozornie byli martwi. Po czym zdjął im z rąk kajdanki. Otrzymałem wówczas rozkaz oczekiwania na karawan i zabrania zwłok do krematorium w celu kremacji. Uczyniłem to.*

W przeciwieństwie do zbrodni dösselskiej, w pierwszych dniach kwietnia do Żagania dotarła imienna lista zastrzelonych „podczas próby ucieczki” oraz dwie urny z ich prochami. Odbyło się to na wyraźny rozkaz gen. Keitla – ku przestrodze pozostałych w obozie jeńców.

Tunele widmo

We wszystkich obozach o charakterze barakowym jeńcy drążyli podkopy. Nie inaczej było w międzynarodowym, specjalnym oflagu XC

Lübeck. W maju lub czerwcu 1944 r. (dokładnej daty nie udało się ustalić) zbiegła z niego tunelem grupa oficerów francuskich. Zostali schwytani i – mimo że obowiązywać ich powinien rozkaz „Stufe III” oraz „Dekret o kuli” – komendantura obozu stanęła na głowie, by jednak powrócili do oflagu. Zrobiła to nie tyle z pobudek humanitarnych, co w trosce o własną skórę. Mimo poszukiwań nie udało się jej bowiem ustalić drogi ucieczki i obawiała się odpowiedzialności. By się jakoś zabezpieczyć, Niemcy sami przecięli druty. Tymczasem uciekinierzy zostali złapani przez policję i cała mistyfikacja mogła się wydać. Nie było

wnocześnie o zgodę na ucieczkę. Starszy obozu, po konsultacji z szefem konspiracji jenieckiej, gen. Zygmunt Podhorskim, uznał jednak, że w ówczesnej sytuacji polityczno-militarnej nie należy już tego robić, a sam tunel powinien zostać wykorzystany dopiero w obliczu zagrożenia obozu eksterminacją. Jego obawy nie były urojeniem, co potwierdziły późniejsze wydarzenia z maja 1945 r. Niemniej podkop nie został nigdy wykorzystany – ani do ucieczki, ani do samoobrony.

W Polsce działają trzy placówki muzealne starające się upamiętnić los żołnierzy przebywających w nie-



Mimo licznych prób ucieczek – zarówno indywidualnych jak i grupowych – dla większości jeńców jedyna droga poza obóz wiodła przez bramę główną, tyle że pod strażą. Na zdjęciu kolumna polskich oficerów wychodząca z zamku Colditz. FOT. ARCHIWUM AUTORA

więc innego wyjścia, jak tylko ścignąć ich jakoś ponownie do obozu, dzięki czemu jeńcy z pewnością uniknęli śmierci.

Nigdy niewykruty przez Niemców tunel powstał też w polskim oflagu VIIA Murnau. Wiosną 1944 r. zaczęła go drążyć grupa oficerów pod kierunkiem ppor. Janusza Wiczorka. Podkop miał wyjątkowo dużą „przepustowość”, szacowaną przez wykonawców nawet na 300 ludzi na godzinę. W sierpniu 1944 r. zameldowali gen. Juliuszowi Rómmłowi o zakończeniu budowy, prosząc ró-

woli: Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, Muzeum Obozów Jenieckich w Żaganiu, Muzeum Woldenberczyków w Dobiegniewie. Dwie ostatnie – co warto podkreślić i docenić – prowadzone są przez samorządy. ■

Źródła:

Szymon Datner „Tragedia w Doessel”, Warszawa 1970.
Danuta Kisieliwicz „Oficerowie polscy w niewoli niemieckiej w czasie II wojny światowej”, Opole 1998.
„Dzienniki jenieckie polskich oficerów w niewoli Wehrmachtu”, Warszawa 2007.
Lord Russell of Liverpool „Pod biczem swastyki”, Warszawa 1956.
Łambinowski Rocznik Muzealny, t. 12/1988 i 13/1989, Opole.



FOT. ARCHIWUM AUTORA

MACIEJ GELBERG

Wyrwani z łap gestapo przez NSZ

Podobnych akcji w czasie wojny żołnierze AK przeprowadzili więcej. Było uwolnienie Alfreda Paczkowskiego „Wani” z łap pińskiego gestapo, atak na więzienie w Mielcu czy Jaśle, a przede wszystkim odbicie Janka Bytnara „Rudego”. Akcja pod Arsenalem opisana w „Kamieniach na szaniec” przeszła do legendy. To, co wydarzyło się rok później w Siedlcach, również zasługuje na zbiorową pamięć. Tym bardziej że akcja NSZ to gotowy temat na scenariusz filmu sensacyjnego.

To nie miało prawa się udać. Z dzisiejszej perspektywy akcja, którą zaplanowali żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych z Podlasia, wydaje się czystym szaleństwem. Wedrzeć się do więzienia znajdującego się w centrum miasta, uwolnić kolegów i wycofać się bez żadnych strat – to wszystko ocierało się o młodzieńczą brawurę. Z drugiej strony być może gdyby nie to szaleństwo, plan by się nie powiódł.

Otwarty atak na siedleckie więzienie był niemożliwy. Kompleks składał się z kilku budynków, które powstały jeszcze za czasów carskich. Okalały je wysokie, grube mury zakończone kilkoma rzędami drutów kolczastych. Ponadto obiekt graniczył z budynkami, w których – ze względu na strategiczny charakter miasta, będącego ważnym węzłem kolejowym i drogowym – stacjonowały duże siły żandarmerii, policji, wojska i gestapo. Nie ulegało więc wątpliwości, że tylko podstęp i szybkie działanie małą liczbą ludzi może przynieść sukces. Zadanie było tym bardziej utrudnione, że Niemcy

spodziewając się próby odbicia zatrzymanych, zawczasu podjęli szereg działań, które miały to uniemożliwić – więźniów umieszczono w pojedynczych celach, zmieniono do nich zamki, a na ulicach krążyły dodatkowe patrole.

Wielka wyspa

Wszystko zaczęło się w Siedlcach 7 marca 1944 r. kiedy – w czasie odprawy dotyczącej rozpoczęcia drugiego turnusu szkoleniowego podchorążych i podoficerów w obozie szkoleniowym „Dym” w Jacie – gestapo aresztowało grupę oficerów Narodowych Sił Zbrojnych. Zatrzymanych zostało dziewięć osób. Był to cały trzon XII Okręgu NSZ „Podlasie”, z jego komendantem, ppłk. Stanisławem Miodońskim „Sokołem” na czele.

Zatrzymany został również, na klatce schodowej, szwagier jednej z aresztowanych, Władysława Rossały, udający pijanego – „Cesarz” („Cesarz”). Został on jednak zwolniony. Później okazało się, że był agentem gestapo. Wcześniej AK w Częstochowie wydała na niego wyrok śmierci,

przed którym uciekł właśnie do Siedlec, gdzie ukrywał się u teściów. O zbliżającej się naradzie dowództwa Okręgu NSZ dowiedział się podobno przypadkiem podczas zakrapianej imprezy od podpitego por. Michała Rossały „Walego”. Co zrobił ze zdobytą wiedzą, nietrudno się domyślić.

Informacja o wpadce szybko trafiła do pozostających na wolności żołnierzy NSZ. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jakie to może mieć konsekwencje dla całego podziemia (przypomnijmy, że był to czas scalania się struktur Armii Krajowej z Narodowymi Siłami Zbrojnymi). Zatrzymani pełnili przecież wysokie funkcje w NSZ i mieli dostęp do wielu poufnych informacji. Niestety, istniało duże prawdopodobieństwo, że w tak licznej grupie aresztowanych ktoś może nie wytrzymać tortur i zacznie sypać. Tego samego najwyraźniej obawiał się nawet jeden z zatrzymanych, ppłk Stanisław Miodoński, który próbował popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły.

Obok działań zapobiegawczych (np. zmiana skrzynek kontaktowych) szybko pojawił się pomysł, by odbić zatrzymanych. Niestety, nie udało się uzyskać pomocy z Komendy Głównej NSZ w Warszawie ani od siedleckiej Armii Krajowej. Stało się jasne, że akcję trzeba będzie przeprowadzić tylko własnymi, ograniczonymi siłami.

Dziewięciu wspaniałych

Zadania podjął się st. sierż. Stefan Kosobudzki „Sęk”, który pod nieobecność aresztowanego por. Michała Rossały pełnił funkcję komen-



Piotr i Stefan Kosobudzczy FOT. ARCHIWUM AUTORA

danta obozu szkoleniowego NSZ „Dym” w Jacie. Całość operacji koordynował ppor. Marian Krasuski „Marian”.

Żołnierze zostali podzieleni na trzy grupy bojowe. Za bezpośrednie uderzenie i odbicie więźniów odpowiadał wspomniany st. sierż. Stefan Kosobudzki „Sęk”. Zadaniem ppor. Wiktora Księżopolskiego „Jastrzębia” było przygotowanie grupy wsparcia w sile 18 żołnierzy uzbrojonych w ręczny karabin maszynowy, pistolety i granaty. Miała ona osłaniać odbitych oficerów i w razie potrzeby zatrzymać pościg Niemców nad rzeką Muchawką. Za dalszą ewakuację odpowiadał ppor. Edward Chojecki, który dobrze znał teren. Miał on doprowadzić uwolnionych do obozu leśnego „Jata”.

Akcja odbicia oficerów NSZ nie powiodłaby się bez pomocy Mariana Chmielewskiego „Miłego”. Ten dawny bojówkarz PPS z 1905 r. był strażnikiem w siedleckim więzieniu. Jego informacje dotyczące rozkładu budynku czy zwyczajów kolegów okazały się bezcenne. Według planu, w niedzielę, w dniu, kiedy Niemcy nie przeprowadzali przesłuchań, „Miły” miał postarać się o objęcie dyżuru. Ponadto Chmielewski miał wskazać grupie „Sęka” cele, w któ-

rych znajdowali się aresztowani oficerowie, i wręczyć im klucze.

Szczegóły operacji trzymane były w ścisłej tajemnicy. Stefan Kosobudzki, by zminimalizować ryzyko dekonspiracji, ogłosił wśród swoich żołnierzy, że podjęto decyzję o rezygnacji z odbicia więźniów. O akcji powiedział tylko siedmiu najbardziej zaufanym ludziom. Warto zapamiętać te nazwiska. Oprócz st. sierż. Stefana Kosobudzkiego „Sęka” byli to: kpr. pchor. Zdzisław Szulczewski „Mścigrom”, kpr. pchor. Czesław Trojanowski „Sęp – Syn Gadali”, kpr. pchor. Stanisław Kotoski „Koń”, kpr. pchor. Jan Tajchert „Farys”, kpr. pchor. Czesław Trochimiak „Car”, kpr. pchor. Stanisław Komorowski „Krwawy Natan”, kpr. pchor. Czesław Moskwiak „Silny” i kpr. pchor. Zygmunt Klem „Zbyszek”.

Wielka mistyfikacja

Akcję o kryptonimie „Więzienie” zaplanowano na niedzielę, 12 marca. Tuż przed godziną policyjną Stefan Kosobudzki założył niemiecki mundur i uzbrojony w pistolet wyprowadził na ulicę trzech pozorowanych więźniów („Mścigroma”, „Farysa” i „Cara”). Zadaniem wspomnianej czwórki było zdobycie furtki nr 1, opanowanie wartowni i zbrojowni, a następnie wpuszczenie do środka pozostałych na ulicy: „Konia”, „Sępa”, „Silnego” i „Krwawego Natana”.

Problemy pojawiły się już na początku. Co prawda konspiratorom udało się dotrzeć pod bramę więzienia, ale z dostaniem się do środka nie było już tak łatwo. „Sęk” nacisnął dzwonek i po niemiecku zażądał od strażnika, by otworzył furkę, tłumacząc, że prowadzi aresztowanych, którzy uciekli z robót w Niemczech. Polski strażnik mówiąc, że o tak późnej porze nie przyjmuje się do więzienia aresztowanych, zasunął judasza i wrócił na wartownię.

Sytuacja jeszcze się pogorszyła, do „Sęka” zbliżył się niemiecki oficer, który wyszedł z budynku żandarmerii. Powodzenie akcji zawisło na włosku. W tym momencie Kosobudzki błysnął refleksem, inteligencją i zimną krwią. Niczym zawodowy aktor odegrał rolę chamowatego Niemca, klnąc i kopiąc w furkę więzienia.

To podziało. Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Żołnierze NSZ obezwładnili strażnika, a następnie sterroryzowali załogę kancelarii i zbrojowni. Dzięki szybkiej akcji udało się zapobiec włą-

„ Powodzenie akcji zawisło na włosku. W tym momencie Kosobudzki błysnął refleksem i inteligencją. Niczym zawodowy aktor odegrał rolę chamowatego Niemca, klnąc i kopiąc w furkę więzienia

czeniu bezpośredniej linii alarmowej łączącej więzienie z siedzibą gestapo, żandarmerii i policją.

Równoległe pod więzienie podeszła druga grupa spiskowców. Przyniosła ona ze sobą drabinki sznurowe, które miały służyć do ewentualnej ewakuacji przez mury – gdyby Niemcy zaatakowali. Korzystając z dostarczonego przez Mariana Chmielewskiego „Miłego” klucza, przedostali się oni do budynku administracji.

Przypadkowy strzał

Po początkowych trudnościach cała akcja przebiegała sprawnie, jednak do pełnego sukcesu było daleko. Aby dostać się do pawilonu, w którym zamknięci byli więźniowie, nale-

żało rozbroić jeszcze czterech strażników. Ponownie nieoceniony okazał się Marian Chmielewski „Miły”, który zwałił do siebie dwóch wartowników. Szybko ich związano i zakneblowano. Z pozostałą dwójką nie było już tak łatwo. Podczas szarpaniny padł strzał, który – jak się później okazało – miał dla części więźniów tragiczne następstwa.

Trzeba było się spieszyć. Nikt nie wiedział, czy przypadkowy wystrzał spowodował alarm w pobliskiej żandarmerii. Szczęście jednak sprzyjało, akurat w tym samym czasie doszło na przedmieściach Siedlec do

Miodońskiego, gdyż był osłabiony po próbie samobójstwa. Przez boisko sportowe – położone naprzeciwko więzienia – uczestnicy akcji i ich odbici koledzy udali się na cmentarz, przy którym oczekiwali na nich żołnierze odpowiedzialni za dalszą ewakuację. Po spędzeniu kilku dni w przygotowanych kwaterach, wszyscy trafili do obozu szkoleniowego NSZ „Jata” w Lasach Łukowskich.

Cała akcja na więzienie trwała 30 minut. Wiadomość o niej lotem błyskawicy rozeszła się po całym Podlasiu. Z czasem narosły wokół tego wydarzenia różne legendy.

budzki ponownie stanął na czele grupy, która miała dostać się tym razem do więzienia w Łukowie i uwolnić Ignacego Rappa oraz jego córkę Mieczysławę, aktywnych członków NOW i NSZ. Akcja zakończyła się sukcesem, choć tym razem nie obyło się bez rannych.

Nowa Polska nie przywitała bohaterów Narodowych Sił Zbrojnych z otwartymi ramionami. Na ulicach pojawili się ludzie o prymitywnej, chamskiej aparycji, których „jedyną zaletą” była brutalność i lojalność wobec komunistycznej władzy przywiezionej na sowieckich czołgach. Jednym z nich był Bolesław Drabik „Bimberek” – niepiśmienny zamordysta, protegowany NKWD, którego nawet w czasie okupacji komunistycznej chcieli skazać na śmierć za gwałt na kobiecie. Kiedy organizowała się władza PKWN, objął on stanowisko szefa siedleckiego MO. Szybko pokazał swoje bandyckie możliwości. To on prawdopodobnie odpowiada za aresztowanie „Sęka”, który 22 sierpnia 1944 r. został zatrzymany przypadkowo przed siedzibą UB w Siedlcach.

Nie są znane późniejsze jego losy. Są tacy, co mówią, że został wywieziony w głąb ZSRR, inni – że został zamordowany jeszcze w Siedlcach. Jedno wydaje się więcej niż prawdopodobne – gdyby nie to aresztowanie, „Sęk”, biorąc pod uwagę jego doświadczenie i temperament, odbijałby kolejnych więźniów niepodległościowego podziemia – tym razem trzymany nie w niemieckich, a ubeckich kazamatach. ■

Źródła:

„Narodowe Siły Zbrojne na Podlasiu”, Materiały posesyjne, t. 1, red. Mariusz Bechta, Leszek Zebrowski, Siedlce 1997; Piotr Kosobudzki, „Przez druty, kraty i kajdany: wspomnienia partyzanta NSZ”, Wrocław 1997; Mariusz Bechta, „Między Bolszewią a Niemcami: konspiracja polityczna i wojskowa Polskiego Obozu Narodowego na Podlasiu w latach 1939–1952”, Warszawa 2008; „Armia Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu”, red. Tomasz Strzembosz, Lublin 1993; Wiesław Charczuk, „Formacje zbrojne obozu narodowego na Południowym Podlasiu w latach 1939–1947”, Siedlce 2003; Wiesław Charczuk, „Akcja Narodowych Sił Zbrojnych na więzienie w Siedlcach, 12 marca 1944 r.”, Szkie Podlaskie, 2000.



Oddział st. sierż. Stefana Kosobudzkiego „Sęka” FOT. ARCHIWUM AUTORA

jakiejś wymiany ognia i to właśnie na tym wydarzeniu skoncentrowała się uwaga Niemców. Faktem jest, że uciekinierzy po opuszczeniu więzienia nie natknęli się na żaden patrol.

Uwolnieni zostali wszyscy oficerowie zatrzymani podczas feralnej odprawy 7 marca. Niestety, z braku kluczy i czasu nie udało się uwolnić kobiet zamkniętych w innym pawilonie. Dla będącej w ciąży Kamili Skwierczyńskiej oznaczało to Pawiak i obóz w Ravensbrück, z którego wróciła po wojnie z dzieckiem, a dla żony ppor. „Walego”, Walentyny Rossały, ten sam Pawiak, tyle że, niestety, została w nim zamordowana.

Wycofywanie się z więzienia odbyło się bez zakłóceń. Trzeba było jedynie uważać na ppłk. Stanisława

Według jednej z nich, szef siedleckiej żandarmerii, będąc pod wrażeniem zuchwałości, fantazji i brawury Stefana Kosobudzkiego „Sęka”, zapragnął z nim się spotkać. Obiecał nawet wystawić glejt bezpieczeństwa. Do tego jednak nie doszło. Nie chodziło nawet o to, że „Sęk” się bał. Kosobudzki po prostu gardził takim towarzystwem i nie życzył sobie mieć z nim nic wspólnego. Wszyscy uczestnicy akcji zostali awansowani i odznaczani Krzyżem Walecznych, a „Sęk” Orderem Virtuti Militari.

Nieznane losy „Sęka”

Szybko okazało się, że żołnierze podlaskiego NSZ stali się specjalistami w odbijaniu więźniów. Dwa miesiące po akcji w Siedlcach Koso-



AGNIESZKA
KUCHCIŃSKA-KURCZ

Dlaczego pan zd

W 2007 r. prokuratura Okręgowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu w Szczecinie umorzyła śledztwo w sprawie śmierci „Grota”. Pronobis nie zgadza się z taką decyzją. Według niego, wśród osób, którym postawiono zarzuty, powinien znaleźć się Kalkstein. Gdy mówił o tym w Szczecinie, słuchała go pełna sala.

Z AK do gestapo

Ludwik Kalkstein to postać, której życie znakomicie nadawałoby się na scenariusz filmowy. W pierwszym wcieleniu był jednym z naj-

– *Teraz możecie mnie powiesić* – powiedział Ludwik Kalkstein, agent gestapo kierujący grupą, która przyczyniła się do zatrzymania przez SS gen. Stefana „Grota” Roweckiego, komendanta głównego Armii Krajowej. Te słowa usłyszał Witold Pronobis, dziennikarz i historyk, krewny generała, który na początku lat 90. odnalazł zdrajcę w Monachium.

lepszych pracowników wywiadu ZWZ-AK. Wiosną 1941 r. zorganizował grupę „Hanka” (tzw. siatka „H”), zajmującą się wywiadem lotniczym. – *Wskazał też słabe punkty Wilczego Szańca* – wylicza Pronobis.

Kalkstein został aresztowany w nieznanych okolicznościach w kwietniu 1942 r. Być może złamał się dopiero po aresztowaniu i torturowaniu rodziców i siostry, Niny Świer-

czewskiej. Zgodził się pójść na współpracę z SS i od początku wykazywał się wielką gorliwością i pomysłowością. Może odezwały się jego pruskie korzenie, może znów chciał być asem? Gestapo rozesłało wieść, że został rozstrzelany. W rzeczywistości wystąpił o niemieckie obywatelstwo i je dostał. W swoim drugim wcieleniu został agentem nr 97, nosił nazwiska Paul Heuchel i Konrad



FOT. ANDRZEJ NIEWIARSKI

wchodził do bramy, pobiegł do sklepiku i gdzieś zadzwonił. Po chwili zjawilo się gestapo. Generała wskazał Świerczewski. Po kilku miesiącach kontruwywiad AK wpadł na jego trop. Torturowany w jednej z piwnic warszawskich kamienic, przyznał się do wszystkiego, dodatkowo znalaziono przy nim pistolet, który wcześniej należał do aresztowanego niedawno AK-owca. Świerczewski wydał Kalksteina i Kaczorowską. Został powieszony. Kalkstein zdołał uciec. Kaczorowska, złapana przez AK, była w ósmym miesiącu ciąży i to uratowało jej życie. Mówią, że Kalkstein chodził potem w mundurze SS, ale nie walczył. Ja wiem, że walczył przeciw Polakom w Powstaniu Warszawskim.

Później Kalkstein uciekł z Niemcami na Zachód. Po powrocie do

“ Kalkstein wpadł przypadkiem (...). Został skazany na dożywocie m.in. pod zarzutem wydania gen. Roweckiego. Wyrok zamieniono wkrótce na 12 lat więzienia. Siedział do 1965 r.

Stark. Do współpracy z gestapo wciągnął szwagra Eugeniusza Świerczewskiego (podobno ten sam się zgłosił, oferując współpracę w zamian za zwolnienie żony) i swoją narzeczoną, piękną Blankę Kaczorowską. Grupa Kalksteina przyczyniła się do zatrzymania kilkuset AK-owców i ich współpracowników.

Dnia 30 czerwca 1943 r. doszło do aresztowania gen. Stefana Roweckiego. – „Grot” nie miał obstawy, idąc na spotkanie – opowiada Pronobis. – Ale dwóch żołnierzy podziemia, którzy obserwowali ulicę, zauważyło jakiegoś człowieka, który w momencie, gdy generał

Polski zmieniał nazwiska – w swoim kolejnym wcieleniu był Święckim, Świerkiem, Świerkiewiczem. Z powodzeniem ukrywał się na Dzikim Zachodzie, jak wówczas określano Pomorze Zachodnie. Zamieszkał w Szczecinie. Pracował tu jako dziennikarz „Kurieria Szczecińskiego”, współpracował z Polskim Radiem Szczecin. Do Związku Literatów Polskich przyjął go sam Jerzy Andrzejewski.

Kalkstein wpadł przypadkiem, rozpoznany na ulicy. Aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa w sierpniu 1953 r. przekonywał, że na gestapo mówił tylko to, co Niemcy już wie-

dzieli. Został skazany na dożywocie m.in. pod zarzutem wydania gen. Roweckiego. Wyrok zamieniono wkrótce na 12 lat więzienia. Siedział do 1965 r. Potem prowadził fermy drobiu i świń. Na początku lat 80. wyjechał do Francji, potem do Monachium, gdzie pod przybranym nazwiskiem żony – jako Edward Ciesielski – pracował w bibliotece Polskiej Misji Katolickiej. Właśnie w Monachium znalazł go Pronobis.

Śledztwo RWE

– Odkąd pamiętam, w moim domu rodzice często rozmawiali o „Grocie” i okolicznościach jego zatrzymania – wspomina Pronobis. Cała ta historia zaczęła wciągać go jeszcze bardziej od 1983 r., odkąd zaczął pracować jako redaktor programy i kierownik działu Polish Independent Press Unit w Radiu Wolna Europa. Stworzył tam największy zbiór polskich wydawnictw podziemnych poza granicami kraju. Robił audycje historyczne, współpracował z paryską „Kulturą”, „Zeszytami Historycznymi” i innymi oficynami emigracyjnymi oraz podziemnymi w kraju. Dobrze poznał też Tadeusza Żenczykowskiego, zastępcę dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE, a przede wszystkim bliskiego współpracownika „Grot” – od 1940 r. pracował on w Biurze Propagandy Komendy Głównej AK (zajmował się propagandą antysowiecką), w Powstaniu Warszawskim był szefem Wydziału Propagandy AK.

– Żenczykowski przez cały czas szukał materiałów, które miały wyjaśnić okoliczności śmierci generała. „Grot” do końca życia wierzył, że wpadł przypadkiem, tak wynika z jego listów. To Żenczykowski dotarł do żołnierza z plutonu egzekucyjnego AK, który wykonywał wyroki śmierci na zdrajcach i który opowiedział mu o Blance – wspomina Pronobis. – Gdy w sprawie Blanki i Kalksteina zapadły wyroki (Kaczorowska dostała pięć lat) – RWE długo

mówiło o skandalu, o tym, że kara jest niska, nieadekwatna do winy. Gdy wyszli z więzienia, początkowo ślad po nich zaginął. Ale na początku lat 80. Żenczykowski wiedział, że Kalkstein, pod nazwiskiem Ciesielski, wyjechał do Francji. W 1983 r. Żenczykowski powiedział, że znalazł Blankę w Domu Polskim, jednym z francuskich domów opieki, ale nie było jakim – dożywało tam swoich dni wielu zasłużonych Polaków. A Blanka, jak się później okazało, była w latach 60. agentką SB. I Żenczykowski doprowadził do usunięcia jej z tego domu.

Wiem, kim jesteś

Na początku lat 90. kolega Pronobisa powiedział, że zna kogoś w Monachium, kto pracował w wywiadzie AK i ma ciekawe informacje na temat współpracy PPR i SS. Dziennikarz zabrał magnetofon. – *Otworzyła nam bardzo miła kobieta, pani Teresa, ale splotyła się, gdy usłyszała, że chcę zrobić z mężem wywiad – wspomina Pronobis. – Próbowałem przekonać, że mamy wolną Polskę, więc trzeba wyjaśnić wszystkie sprawy, ale zrobiła się mniej stanowcza dopiero, gdy powiedziałem o honorarium. Wpuściła mnie do pokoju, w którym leżał starszy chudy mężczyzna z bujną czupryną. Gdy się przedstawiłem, że jestem z RWE, powiedział: ja do tej szczeniacki nie będę mówił. Spojrzał nagle na mnie, a mnie te jego oczy wydały się znajome, tyle razy widziałem je na fotografiach. Ja wiem, kim ty jesteś, panie Kalkstein, powiedziałem. Ja jestem krewnym „Grota”, który zginął przez pana. Nie jestem od sądenia, ale proszę powiedzieć, dlaczego pan, który miał tyle zasług dla polskiego podziemia, dlaczego pan zdradził? „Tak, to ja ich rozgryzłem” – odpowiedział z dumą. Potem przestraszył się i kazał mi się wynosić. Powiedział nagle, że wszystkie ważne dowody ma w teczce, która leżała na nocnej*

szafce. Przymknął oczy. Cicho podniosłem się, wyciągnął rękę po teczkę. Nie otworzył oczu. Jeszcze w kuchni dopilem herbatę. Zobaczyłem na lodówce zdjęcie Kalksteina z uroczystości gwiazdkowej w Polskiej Misji Katolickiej. Zabrałem je. Przypomniałem sobie, że musiałem go widzieć, gdy zanosilem do Misji książki. Pamiętam, że gdy się przedstawiłem, zniknął i przysłał inną bibliotekarkę. Dlaczego przyjechał do Monachium? Może miał rozpracować emigrację i środowisko RWE? Imię i nazwisko, którymi się posługiwał, należały do pierwszego męża jego żony, Teresy.

Pronobis chciał wrócić po inne dokumenty, usłyszał, że Kalkstein jest w szpitalu. Potem przysłała wieść, że nie żyje, ale tak naprawdę zmarł rok później. Kłamiąc, żona kupiła i jemu, i sobie spokój. Nie przyjmowała do wiadomości, że był innym człowiekiem niż ten lubiany bibliotekarz. Właściwie nie ma po nim żadnego śladu. Wprawdzie przed śmiercią wystąpił do monachijskiego sądu o przywrócenie nazwiska Kalkstein, ale teraz leży w grobie anonimowym, bo żony nie stać było na utrzymywanie mogiły.

Zarzuty dla gestapowców

Notatki, które wyniósł Pronobis, to spisane ręką Kalksteina dokładne relacje dotyczące wszystkich aresztowań Polaków, do których przyczyniła się jego grupa. W ich świetle wszyscy mieli przejść na współpracę z gestapo. Nie ma w nich za to słowa o Świerczewskim ani o Kalksteinie. Pronobis notatkom nie wierzy. Niewykluczone, że były sporządzone specjalnie, żeby skompromitować polskie podziemie. Dziennikarz nie robi z nich użytku, nie włączy do prowadzonego przez siebie śledztwa.

Kilka lat temu śledztwo w sprawie aresztowania Stefana „Grota” Roweckiego zaczęła prowadzić prok. Jolanta Jędrzejowska z Okrę-

Obelisk dla „Grota”

W styczniu br. berlińska Polonia rozesała pisma do polskich instytucji z prośbą o wsparcie idei postawienia na terenie obozu w Sachsenhausen obelisku, który miałby przypominać postać gen. Stefana „Grota” Roweckiego. Pomysł wsparła m.in. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Uroczystości, zaplanowane na początek września, ma poprzedzić berlińska promocja książki Witolda Pronobisa „Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci”, a także debata przeprowadzona w Szczecinie pod hasłem „Polityka pamięci na polsko-niemieckim pograniczu”.

gowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu w Szczecinie. To była prestiżowa sprawa, o której pisała większość polskich mediów. – *Zostało przesłuchanych bardzo wielu świadków, analizowałam materiały Radia Wolna Europa, przesłuchałam też m.in. Andrzeja Krzysztofa Kunerta, który napisał na ten temat znaną książkę – mówi prok. Jędrzejowska. – Przesłuchiwałam też krewnych „Grota”, nie wskazali żadnego nowego świadka, poza krewnym z Australii, który nie odpowiedział na zapytania prokuratury. O Witoldzie Pronobisie po prostu nie wiedziałam; gdybym słyszała o jego śledztwie, także poprosiłabym go na świadka.*

Prokurator postawiła zarzuty Heinrichowi Himmlerowi, zwierzchnikowi policji III Rzeszy (na wieść o wybuchu Powstania Warszawskiego wydał rozkaz rozstrzelania „Grota” osadzonego w obozie Sachsenhausen), Antonowi Kaindlowi, komendantowi obozu w Sachsenhausen, i Kurtowi Eckariuszowi, komendantowi podobozu Zellenbau w obozie Sachsenhausen. Prokurator Jędrzejowska mówi, że śledztwo

zostało umorzone, bo osoby, którym postawiono zarzuty, już nie żyją. „Danych innych osób biorących udział w egzekucji nie udało się ustalić” – tak kończy się uzasadnienie umorzenia śledztwa.

– *Postawienia zarzutów gestapowcom nie rozumiem, przecież „Grot” był żołnierzem, został ujęty w walce, potem rozstrzelany* – mówi Pronobis. – W akcie oskarżenia nie ma Ericha Mertena, który stworzył siatkę Kalksteina. Nie ma też samego Kalksteina.

– *Kalkstein był sądzony wcześniej, wyrok odsiedział* – argumentuje Jędrzejowska.

– *Przeczytałem w decyzji o umorzenia śledztwa, że Kalkstein i Kaczorowska nie zdawali sobie spra-*



wy, że „Grot” zostanie rozstrzelany – mówi z goryczą Pronobis. – *Kto w to uwierzy?*

Witold Pronobis napisał właśnie książkę o działaniach Kalksteina i Kaczorowskiej podczas wojny, o ich roli, jaką odegrali w PRL i na emigracji. Jeszcze czeka na wyjaśnienie do końca losów Blanki, którą z ostatniego domu opieki zabrał do siebie syn jej i Kalksteina. – *Mama już dawno nie żyje* – usłyszał Pronobis, gdy w końcu się do niego dodzwonił. – *To proszę powiedzieć, gdzie jest jej grób...* ■

Editions Spotkania – wydawnictwo założone w 1978 r. w Paryżu przez Piotra Jeglińskiego po 20 latach wznawia działalność, wydając książkę, która zaskoczy tych, co dotąd uważali, że po blisko 70. latach od zdrady, aresztowania i śmierci gen. Stefana „Grot” Roweckiego nie pozostało w tej sprawie nic do odkrycia.

Witold Pronobis – dziennikarz i historyk, krewny Stefana Roweckiego – w 1990 r. pracuje w Radiu Wolna Europa. Planuje przeprowadzić wywiad z Edwardem Ciesielskim, bibliotekarzem, pracownikiem Polskiej Misji Katolickiej w Monachium. Tak rozpoczyna się niezwykła historia, która doprowadzi do zdemaskowania Ludwika Kalksteina, byłego agenta gestapo. Zdumiewającym zrzędzeniem losu kilka dni przed ustalonym terminem wywiadu Pronobis otrzymał od Tadeusza Żenczykowskiego fotografię Kalksteina. Kiedy dochodzi do spotkania, dziennikarz rozpoznaje człowieka, którego widział na zdjęciu – człowieka skazanego w marcu 1944 r. przez Wojskowy Sąd za zdradę na śmierć.

Książka „Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci” zaskoczy tych, którzy przyzwyczajeni są do „benedyktyńskich” badań historycznych opartych na dokumentach



Promocja książki Witolda Pronobisa pt. „Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci”, z udziałem autora, ściana do Muzeum Powstania Warszawskiego rzesze miłośników historii FOT. ANTONI BLUTKIEWICZ

i zeznaniach. Autor nie pomija źródeł historycznych, ale postanowił przedstawić swoją wersję wydarzeń, decydując się przy tym na ryzykowne kroki, w tym kradzież teczek dokumentów z mieszkania Kalksteina. Niewątpliwym walorem publikacji są obszerne biogramy występujących w niej osób, szczegółowe kalendarium życia Kalksteinów oraz bogaty zbiór zdjęć i ilustracji ze zbiorów rodzinnych i Instytutu gen. Stefana „Grot” Roweckiego w Lesznie.

Editions Spotkania do 1989 r. opublikowało 69 tytułów książkowych, przedrukowało również numery „Spotkań”, a w latach 80. ubiegłego wieku wydawało także kwartalnik „Libertas”. Od 1990 r. działało w Polsce, wydając tygodnik „Spotkania” oraz ponad 100 książek. Prezesem wydawnictwa był Piotr Jegliński, dyrektorem generalnym – Janusz Krupski.

Grupy Oporu „Solidarni”

Były to jedne z najlepiej funkcjonujących struktur konspiracyjnych, które działały w latach 1982–1989. Zasłynęły ze spektakularnych akcji, takich jak nadawanie audycji radiowych dla więźniów Mokotowa, „przemysłowe” rozrzucanie ulotek czy wywieszanie wielkich transparentów. Głośne działania ich członków odbijały się głośnym echem, stwarzając wrażenie siły i determinacji podziemia.

Na przełomie lutego i marca 2014 r. w Warszawie przypomniano działalność Grup Oporu „Solidarni”. Spotkania poświęcone tej podziemnej organizacji zorganizowały Archiwum Akt Nowych, Instytut Pamięi Narodowej i Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Dokumenty Grup Oporu trafiły do archiwum

Uroczyste przekazanie archiwum Grup Oporu do Archiwum Akt Nowych odbyło się 28 lutego. Cenne dokumenty od 30 lat gromadził ich członek – Bolesław Jabłoński „Omega”. Wśród ofiarowanych materiałów znalazły się m.in. ulotki i odzwy rozrzucone przez Grupy, fotografie, wydawnictwa i prasa drugiego obiegu.

Obecny na uroczystości naczelnym dyrektorem Archiwów Państwowych, prof. Władysław Stępnia, podziękował działaczom Grup Oporu za ich zaangażowanie i aktywność, które – jak stwierdził: *dla większości tutaj zgromadzonych były niemalże chlebem powszednim*. Podkreślił, że dzięki przekazanim dokumentom młodzi ludzie będą mogli lepiej poznać historię. Z kolei dyrektor Archiwum Akt Nowych, dr Tadeusz Krawczak, wyraził nadzieję, że w niedalekiej przyszłości kolejne partie dokumentów Grup Oporu znajdą się w zasobach AAN.

Atrakcją uroczystości był pokaz fragmentu mało znanego dotąd

filmu dokumentalnego „Vivre dans la verite. Pologne 1985”, zrealizowanego przez Marcela Łozińskiego, który zarejestrował „na żywo” akcje miejskie Grup, m.in. ulotkową przy ul. Grójeckiej pod obecnym Urzędem Dzielnicy Ochota.

Grupy Oporu „Solidarni” – jak wspominał Bolesław Jabłoński – powstały spontanicznie pod koniec 1981 r. Były wyrazem pragnienia młodego pokolenia włączenia się do czynnej walki przeciwko komunistycznemu reżimowi. Początkowo skupiły się wokół Andrzeja Niedka „Alka”. Zimą 1982/1983 r. kierownictwo przejął Teodor Klincewicz „Borys”, „Rafał” i „Teoś”. Przyjęta nazwa Grup Oporu „Solidarni” z jednej strony była świadectwem formalnej zależności od Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” i uznania jej autorytetu, z drugiej zaś wyrazem samodzielności w inicjatywach podejmowanych przez Grupy.

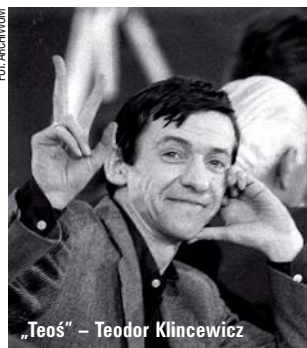
Struktura organizacji opierała się na działalności niezależnych, ale



współpracujących ze sobą zespołów. Do ich podstawowych działań należały regularne akcje ulotkowe, aktywny udział w manifestacjach oraz druk i kolportaż materiałów drugiego obiegu. W ramach Grup Oporu istniały wyodrębnione struktury do specjalnych zadań. Sekcja transportowa zajmowała się odbiorem, przechowywaniem oraz dystrybucją maszyn i materiałów drukarskich przemycanych z Zachodu. Z kolei sekcja legalizacji fałszowała na potrzeby RKW Mazowsze dowody osobiste, prawa jazdy, umowy o pracę, paszporty i kartki zaopatrzeniowe.

Świadectwo czasu

W Centrum Edukacyjnym IPN 1 marca odbyła się promocja książki Janusza Przemysława Ramotow-



„Teoś” – Teodor Klincewicz



skiego „Przem” pt. „Sto razy głową w mur”. W wydarzeniu wzięli udział badacz opozycji okresu PRL-u, prof. Andrzej Friszke, oraz członek kierownictwa Grup Oporu, wydawca i kolporter „bibuły” – Jacek Maria Juzwa.

Profesor Friszke wyraził głębokie uznanie dla autora książki, podkreślając wyjątkowy charakter prezentowanej pozycji. Janusz Ramotowski należał do ścisłego kierownictwa Grup Oporu i uczestniczył w przygotowaniu oraz przeprowadzaniu wielu akcji. W swej książce wystąpił więc w dwóch rolach: historyka i świadka.

Po promocji książki rozpoczęła się w siedzibie Stowarzyszenia Wolnego Słowa projekcja filmu dokumentalnego „Teoś” w reż. Michała Nekandy-Trepy z 1991 r. Jego bohater – Teodor Klincewicz – swą działalność antysystemową rozpoczął w 1975 r., gdy był studentem Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej Politechniki Warszawskiej. W końcu lat 70. w akademiku „Mikrus” drukował podziemnego „Robotnika” – pierwsze „wielonakładowe” pismo drugiego obiegu, wydawane przez KOR. Rychło zyskał opinię jednego z najlepszych znawców techniki sitodruku. W sierpniu 1980 r. uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, gdzie zajmował się poligrafią. We wrześniu był jednym z inicjatorów powstania Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Politechnice Warszawskiej, a od grudnia jego przewodniczącym. Jako wiceprzewodniczący Komisji Krajowej brał też aktywny udział w budowie ogólnopolskich struktur tej organizacji.

Od wprowadzenia stanu wojennego Teodor Klincewicz ukrywał się. Mimo że udało mu się zabezpieczyć sprzęt poligraficzny NZS PW – swoją przyszłość związał z inną opozycyjną organizacją. To Grupy Oporu „Solidarni”, których był współorganizatorem i niekwestionowanym

liderem. Występujący w filmie Henryk Wujec porównał „Teosia” do sienkiewiczowskiego Kmicica, który jak bohater „Potopu” jednocześnie łączył fantazję ze zmysłem praktycznym. To on wymyślił sposób na „zdalne” rozrzucanie ulotek. Związaną paczkę przymocowywano pod okapem dachu, a zapalony papieros służył za lont, który miał przepalić żyłkę. Dzięki takiemu opóźnieniu uczestnicy akcji mieli czas oddalić się w bezpieczne miejsce. Wykorzystywano papierosy marki Marlboro, bo – jak mówił Klincewicz – tylko one nie gasły na wietrze.



Janusz Przemysław Ramotowski, autor książki „Sto razy głową w mur” FOT. ARCHIWUM

„Teoś” 21 marca 1983 r. został aresztowany. Nie siedział jednak długo – już w lipcu, po ogłoszeniu amnestii wyszedł na wolność i kontynuował opozycyjną działalność. W latach 1983–1988 (wspólnie z Marianem Kotarskim, jak się później okazało, oficerem SB) prowadził oficynę wydawniczą „Rytm”, był również redaktorem naczelnym podziemnego pisma „Kurier Mazowsza”.

Zmarł 1 marca 1991 r. w wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym. Do tragedii doszło kilka dni wcześniej pod Mławą, kiedy „Teoś” jechał na Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. W 2006 r. Teodor Klincewicz został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Po projekcji filmu odbył się koncert Michała Mareckiego. ■

Książka Janusza Przemysława Ramotowskiego „Sto razy głową w mur”

To historia tych, którzy chcieli zrobić coś innego niż druk „bibuły”, wydana przez IPN, jest niezwykle cenną publikacją poświęconą Grupom Oporu „Solidarni”. Autor oparł się nie tylko na własnej pamięci i relacjach kolegów, ale podjął też szerokie i szczegółowe badania dokumentów SB zgromadzonych w IPN. Udało mu się – warto to podkreślić – pomimo tak różnych źródeł, zachować wartką narrację, co stanowi

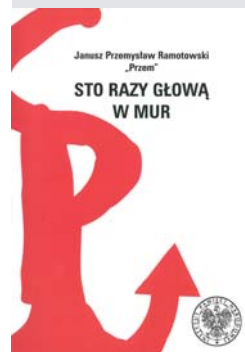
niewątpliwy walor tej publikacji.

W książce znajdujemy pełne spektrum działań podejmowanych przez Grupy, począwszy od akcji miejskich, a skończywszy na druku i przemycaniu sprzętu

poligraficznego. Pozycja ta jest również kopalnią wiedzy na temat technik konspiracyjnych wykorzystywanych przez uczestników Grup, których odwaga i pomysłowość wzbudzają w dzisiejszym czytelniku podziw i uznanie.

Autor niejednokrotnie przemienia się w detektywa, prowadząc własne śledztwo historyczne, w którym podejmuje próbę ustalenia, co SB wiedziała o działalności Grup, w jaki sposób docierała do działaczy i jak ich rozpracowywała. Sukcesem organizacji, mimo inwigilacji i „wpadek”, była jej nieprzerwana działalność aż do obrad Okrągłego Stołu. Niewątpliwie było to dużą zasługą Teodora Klincewicza, który nadał Grupom styl działania i przeprowadził przez lata 1982–1989.

Książka przypomina dziesiątki postaci, do tej pory nieznanych bądź zapomnianych, ale bardzo zasłużonych w walce z systemem komunistycznym w Polsce.



Broń „Żołnierzy Wyklętych”

JAROSŁAW LEWANDOWSKI

W marcu obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, więc to dobra okazja, aby przyrzeć się przez chwilę broni, w jaką żołnierze niepodległościowego podziemia drugiej połowy lat 40. i 50. byli uzbrojeni – a jest co oglądać

Po zakończeniu działań wojennych na ziemiach polskich pozostało dużo broni i amunicji różnego pochodzenia. Przede wszystkim była to broń używana przez wojsko niemieckie, a także ta używana przez wojsko radzieckie i Woj-

nich później zdobywane), czasami zdarzy się erkaem Browning wz.28. Nie czas tu i miejsce na naukowe dociekania i śledzenie historii poszczególnych oddziałów i zgrupowań partyzanckich, w każdym razie większość z nich nie stanowiła pro-

styczną drewnianą kolbą), lecz zdarzały się też wzory starsze, jak na przykład MP-28, oraz pistolety, głównie P.38 i P.08 Parabellum, ale także – używane w dużej liczbie przez Niemców – belgijskie Browningi HP i wspomniane już, produkowane w Polsce, Czechach i Austrii, Visy, czyli według niemieckiej nomenklatury P.35p. W tej grupie z estymą traktowano wszelkie pe-emy i pistolety, jako najbardziej od-



Radziecki 7,62 mm ręczny karabin maszynowy DP
FOT. LESZEK ERENFICHT ZE ZBIORÓW MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Polski 9 mm pistolet samopowtarzalny VIS, produkowany przez Niemców w Radomiu

sko Polskie tzw. Ludowe. Sporadycznie trafiają się egzemplarze broni pochodzącej z alianckich zrzućców – na przykład erkaemy Bren czy granatniki przeciwpancerne PIAT – ale z uwagi na brak zaopatrzenia w amunicję i części zamienne broń ta pełni w drugiej połowie lat 40. już głównie rolę dekoracyjną przy okazji grupowych zdjęć pamiątkowych. Nawet pistolety maszynowe Sten, strzelające łatwo dostępną amunicją 9 mm Parabellum i stosunkowo popularne w czasie wojny (szczególnie w okolicach Warszawy, gdzie były konspiracyjnie produkowane) trudno w latach powojennych zauważyć na zdjęciach. Podobnie szczątkowo obecna jest przedwojenna broń polska, pozostała po kampanii wrześniowej – poza Visami, traktowanymi jako relikwie wolnej Polski (a i tak przede wszystkim były to Visy produkowane w radomskiej Fabryce Broni podczas okupacji przez Niemców, i na

stej kontynuacji jednostek Armii Krajowej czy Batalionów Chłopskich, powstała już po wojnie z żołnierzy zebranych z różnych stron, nie miała więc możliwości przejmowania zapasów uzbrojenia, gromadzonych wcześniej. Pod tym względem największe straty przyniosła realizacja planu „Burza”, która pozbawiła krajową powojenną konspirację większości broni przechowywanej przez okres wojny, z narażeniem życia wielu osób. I to pozbawiła bez jednego wystrzału, przekazując cały arsenał rzekomemu sojusznikowi.

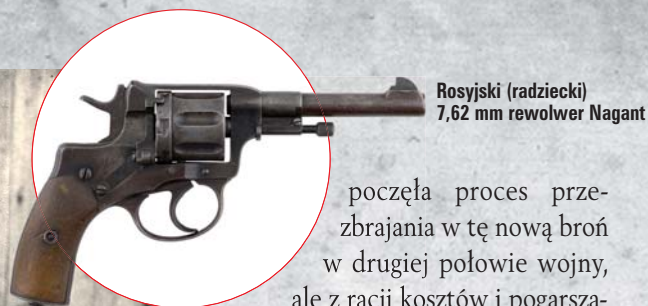
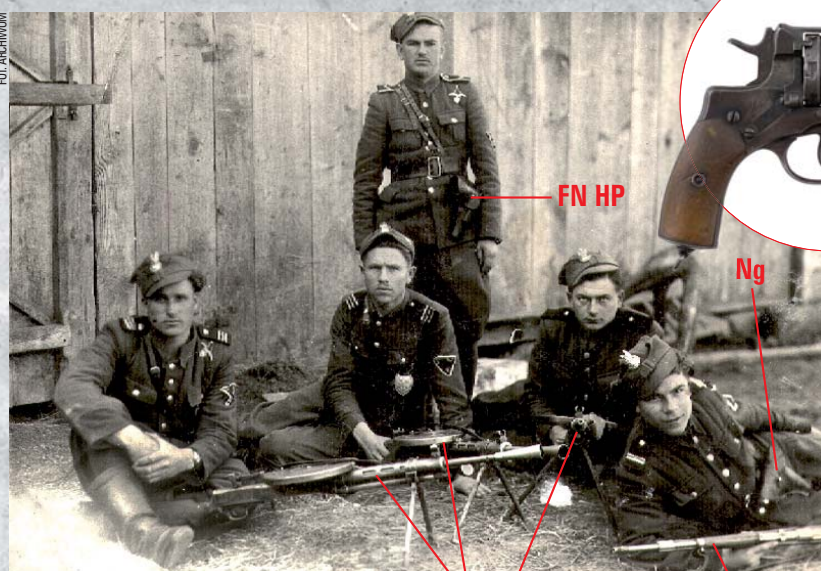
Broń poniemiecka

Wśród typów broni poniemieckiej dominują trzy grupy. Pierwsza to standardowa indywidualna broń strzelecka Wehrmachtu i Waffen-SS, przede wszystkim karabiny Mauser K98k, pistolety maszynowe – głównie MP-40 i MP-41 (z charaktery-

powiednie dla walki partyzanckiej, traktując karabiny powtarzalne jako swoisty dopust boży.

Drugą grupę stanowiła broń ze-społowa i przeciwpancerna, przede wszystkim uniwersalne karabiny maszynowe MG 42 oraz powszechnie używane przez Niemców czeskie erkaemy ZB vz.26 (ZB-26), noszące niemieckie oznaczenie MG-26(t). ZB-26 były – co warto pamiętać – protoplastą brytyjskich Brenów, produkowanych na czeskiej licencji jako wersja rozwojowa ZB-26 (tyle że ZB-26 strzelał karabinowym nabojem niemieckim, a Bren nabojem brytyjskim, innego kalibru). O ile erkaemy były wartościową bronią w oddziale partyzanckim – i co ważne, obsługiwać mógł

FOT. ARCHIWUM

Rosyjski (radziecki)
7,62 mm rewolwer Nagant

poczęła proces prze-
zbrajania w tę nową broń
w drugiej połowie wojny,
ale z racji kosztów i pogarsza-
jącej się sytuacji na froncie nie do-
kończono tego zadania – niemniej
ponad 400 tys. sztuk nowej broni
pojawiło się, głównie na froncie
wschodnim. A potem wiele egzem-
plarzy pozostało w Polsce, stając się
wartościowym uzbrojeniem podzie-
mia antykomunistycznego. Jest
charakterystyczne, że spotykamy
oddziały nieomal w całości uzbro-
jone w MP.44, jako podstawową
broń żołnierzy.

Broń porosyjska

Broń proweniencji rosyjskiej była
najbardziej oczywistym wyborem
uzbrojenia – wszak najwygodniej
jest się uzbroić w taką samą broń,
jakiej używa nasz wróg. Wów-
czas najłatwiej jest zdo-

je pojedynczy żołnierz – o tyle szyb-
kostrzelne MG 42 mogły być bard-
ziej przekleństwem, przede wszyst-
kim z uwagi na ogromne zużycie
cennej amunicji (MG 42 miał trzy
razy większą szybkostrzelność teo-
retyczną niż ZB-26) oraz ze wzglę-
du na zasilanie z taśmy naboju, trud-
niejszej do zdobycia – czeski
rkm był zasilany z magazynka, ład-
wanego pojedynczymi nabojami.
Jako broń przeciwpancerna przewa-
żały jednorazowe granatniki prze-
ciwpancerne Panzerfaust, używane
przez Niemców na masową skalę.

3 x DP

Mauser K98k

Trzecią i najciekawszą grupę bro-
ni niemieckiej stanowiły bardzo
nowoczesne karabinki automac-
zne Sturmgewehr 44 (StG44, zwa-
ny wówczas przeważnie MP.44) na
amunicję pośrednią, które w tam-
tych latach były jedną z najnowo-
czeniejszych broni strzeleckich na
świecie (o ile nie najnowocześnie-
szą). Armia niemiecka roz-

Niemiecki 7,92 mm
karabinek automatyczny StG44
(MP44)Oddział bojowy KWP
(Konspiracyjnego Wojska
Polskiego) krypt. „Bałtyk”
(„Drzymała II”)
– las klonowski koło gajówki
Tarczewskiego, okolice
Sieradza, 30 VIII 1947 r.

FOT. ARCHIWUM

ROZWIĘCIA SKRÓTÓW SYMBOLI BRONI NA ZDJĘCIACH

DP	radziecki 7,62 mm ręczny karabin maszynowy DP
FN HP	belgijski 9 mm pistolet FN HP, wg oznaczeń niemieckich P-35b
Mauser K98k	niem. 7,92 mm karabin powtarzalny Mauser wz.98k
MG42	niem. 7,92 mm uniwersalny karabin maszynowy MG 42
MP44	niem. 7,92 mm karabinek automatyczny StG44 (MP44)
Ng	rosyjski (radziecki) 7,62 mm rewolwer Nagant
P35p	polski 9 mm pistolet VIS, produkowany podczas okupacji przez Niemców, oznaczenie niem.
PPS	radziecki 7,62 mm pistolet maszynowy PPS wz.1943
PPSz	radziecki 7,62 mm pistolet maszynowy PPSz wz.1941
Pzf.30m (gross)	niem. bezodrzutowy granatnik przeciwpancerny Panzerfaust 30m groß
Rkm wz.28	polski 7,92 mm ręczny karabin maszynowy wz.28 Browning
TT	radziecki 7,62 mm pistolet samopowtarzalny TT-33

być do niej amunicję, łatwiej jest też urządzać zasadzki (w przebraniu za żołnierzy wroga). Wśród broni poradzieckiej przeważają zdecydowanie pistolety maszynowe – przede wszystkim najpopularniejsze wówczas PPS-43, a także najbardziej znane z przekazu propagandowego i filmowego „pepesze” PPSz-41, choć zdarzają się też bardzo udane, aczkolwiek produkowane w mniejszych ilościach starsze peemy PPD-40 (często mylone z pepeszą ze względu na także bębnowy magazynek). Drugą pod względem popularności grupą broni radzieckiej – choć trzeba tu mówić już tylko o typie czy modelu, a nie o całej grupie – są erkaemy DP. Zapewne nie tyle z racji na swe walory taktyczno-techniczne, ile z powodu bycia najbardziej popularnym erkaemem na ziemiach polskich, dostępnym w setkach tysięcy sztuk. Charakterystyczny talarzowy magazynek tego erkaemu jest tak samo archetypiczny dla obrazu sowieckiego bojca, jak bębnowy magazynek pepeszy... Do tego dochodzą pistolety TT i rewolwery



Radziecki 7,62 mm pistolet maszynowy PPSz wz.1941

Naganta, etatowa broń krótka w armii radzieckiej. Co ciekawe, prawie nie spotyka się na zdjęciach rosyjskich karabinów Mosina, które

xima wz.1910, jak i nowszych, chłodzonych powietrzem ckm Goriunowa SG-43. Widocznie ta mało poręczna broń, pomimo swojej du-



Kadra V Brygady Wileńskiej AK, 1945 r. FOT. ARCHIWUM

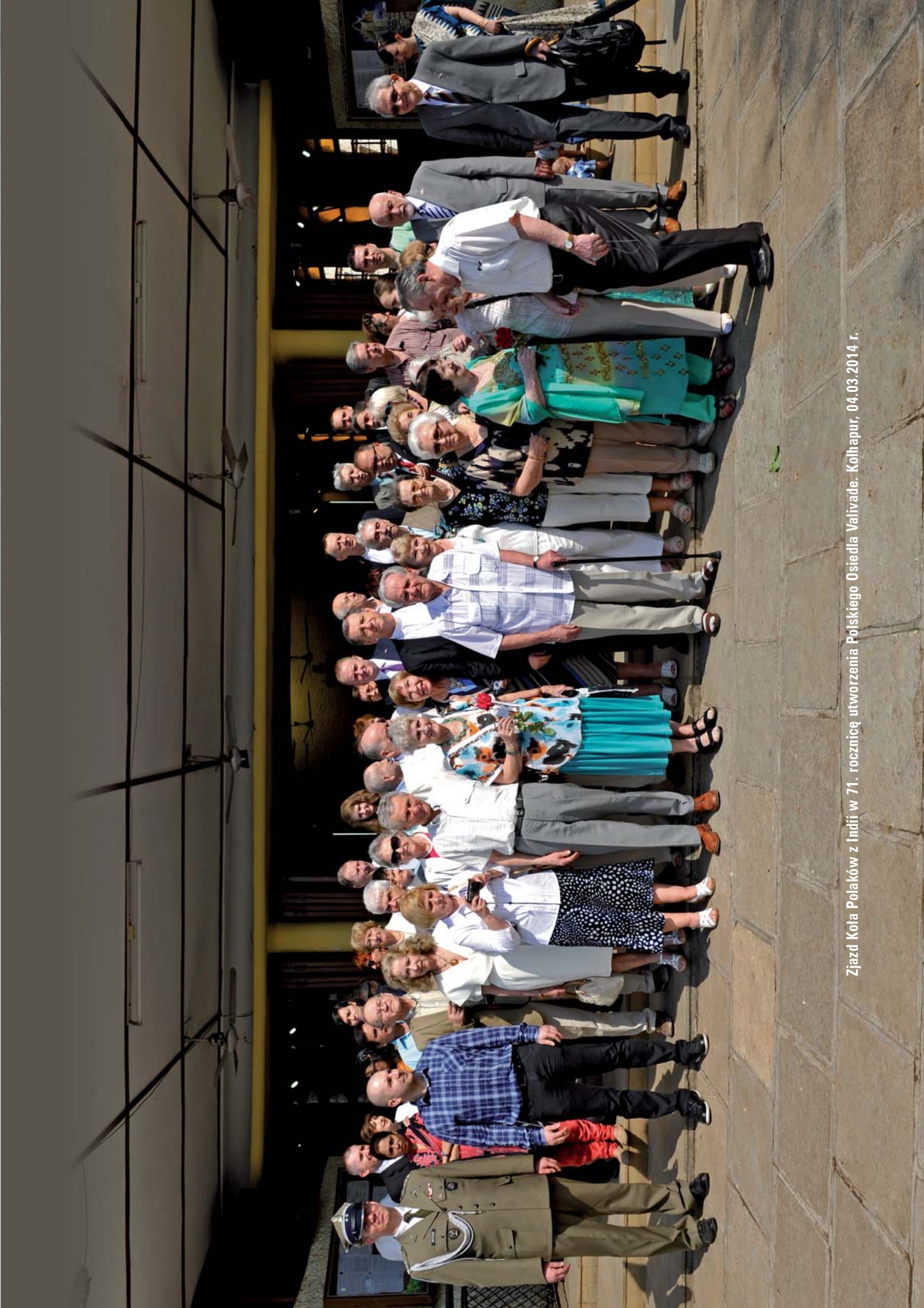
były jednak podstawowym wyposażeniem zarówno armii radzieckiej, jak i LWP. Widocznie nie traktowano ich jako wartościowej broni, co zbytnio nie dziwi – w porównaniu z karabinem Mausera, używanym w przedwojennym wojsku polskim oraz w armii niemieckiej, karabin Mosina zdawał się być bronią z poprzedniej epoki (choć nie był wcale tak zły, na jakiego wyglądał). Zdarza się za to spotkać rosyjskie karabiny samopowtarzalne, stosunkowo nowoczesne, aczkolwiek niezbyt udane, przede wszystkim SWT-40. Z broni cięższej zdarzają się rusznice przeciwpancerne, przede wszystkim PTRS-41. Za to praktycznie nie widuje się wśród oddziałów partyzanckich ciężkich karabinów maszynowych, na charakterystycznych podstawach kołowych – Rosjanie przez okres wojny i wiele lat po niej używali zarówno starych ckm Ma-



Radziecki 7,62 mm pistolet samopowtarzalny TT-33

żej siły rażenia, nie była poważana wśród partyzanckiej braci, która preferowała w tym względzie wzory niemieckie. Cóż, ukm MG-42 był uniwersalny nie tylko z nazwy...

W artykule zamieszczamy kilka charakterystycznych zdjęć jednostek antykomunistycznej partyzantki z drugiej połowy lat 40. Celowo nie opisujemy ich danymi postaciami na nich uwidocznionych, ale za to opisane są wszystkie egzemplarze widocznej na zdjęciu broni. Proszę zwrócić uwagę, że uzbrojenie żołnierzy jest dobierane według logicznego schematu zaopatrzenia w amunicję – oddział jest uzbrojony albo w przeważającej części w broń rosyjską, albo w broń niemiecką, czasami do lekkiej broni niemieckiej dochodzi cięższa broń rosyjska (maszynowa). ■



Zjazd Koła Polaków z Indji w 71. rocznicę utworzenia Polskiego Osiedla Valivade. Kolhapur, 04.03.2014 r.

